

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.  
Zespół (fond) 73.  
Archiwum Ostapa Ortwina

111. Archiwum Ostapa Ortwina. Materiały redakcyjne „Kurierza lwowskiego” lata 30. XX w (92).

*STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE*

Львівська бібліотека АН УРСР  
ВІДП. КОПІЄВІ  
№ Орт. 111/п. 8.

Матеріали з реакційної  
теми "Журіера Львівського"

(автографи хурочних творів, дру-  
карські в'їздки, порічкові но-  
татки).

30-і р.р. х ст.

Львів.

93  
92 арк.  
м. пол.

Автографи і машинописи

Mój sąsiad sam

Twardemi palcami ściskając szyję,  
czerwienieje, zatacza się, wkółko lata  
i gdy widzi w lustrze mgłę nie z tego świata  
charcze: - oto smak życia! teraz żyję!

Głaszcze brzuch wypięty, bije weń jak w bęben  
i słysząc szmer kiszek boleśnie w kłębek  
zwinionych, szeptem się zwraca do lustra:  
- Śmierci co w brzuchu tkwisz! I sine ma usta.

Nasłuchuje okrągłooki jak zajac.  
Srebrny zegarek co wisi na brzuchu  
niechaj pocieszy - przy włochatem uchu  
podzielony, rozdrobniony czas tykając.

Sięga. Chce podnieść. Zegarek wrósł w mięso.  
Ciągnie, rwie palcami, lecz ręce się trzęsą.  
Zaś srebrny groźnie w tkankach siedzi jak narośl.  
Próbuje zębami - osłabły. Starość.

Pada i psu podobny zębami szczęka,  
pluje sobie w brodę, przeklina Boga,  
nogą w nogę uderza: - to jest nogal!  
Pazurem wpił się w skórę: - to moja ręka!

Tarza się przed lustrem, palcem brzuch naciska,  
czołem uderza, ślina cieknie z pyska -  
klęka, kolanami dół sobie wierci  
jak zwierz od stóp aż po gardło pełen śmierci.

g. Lama  
mnie - (bawo) w zimie yam  
Pł -

2  
8

MÓJ SPACER

Szeroką, jasną drogą, daleką drogą za miastem  
idę, wchłaniając wiosnę w spragnione czekaniem płuca.  
A w górze ponad myślami noc ubrana w gwiazdy  
zsypuje ciemność z worków i palce w niej zanurza.  
Drzewa przydrożne idą razem z moimi myślami  
i mają ręce kwitnące, pachnące, młode, zielone;  
czeplają się mej sukni, wołają na mnie szumami  
i oczom śmieją się modrym i ustom szczęśliwie czerwonym.  
Ale nic mnie nie wstrzyma. Prosto idę przed siebie,  
garściami zrywam czereśnie, kwitnące puszyście--biało,  
i taka jestem radosna, że świat jest dla mnie za mały.  
--A Bóg pod ramię z czerwcem idzie mi jasny naprzeciw.  
I wiatr mi włosy rozwiewa i w duszę  
przez oczy zmrużone zagląda zuchwale.  
Ej wietrze! chwyć cię w pięści i zduszę  
i w szklanym skryję futerale!

"Lama"

q. Chwał

2 143<sup>3</sup>

miejsz

Biały uśmiech

---

Pan Markowi Zwilichowi.

Biały uśmiech,  
mięśnistym słowem rozpeknięte wargi,  
w oknie, jak dzień, gdy pogodą chluśnie,  
o parapet w sparte przyjazne spojrzenie.

/- Ulicą w słonecznym letargu...  
Drzewa śpią ułożywszy głowy na poduszkach z cieni.

Wierny parkan - nie zagradzający -  
jak pies stary, bezzębny u progu...  
Schody, deszczem schodzone i słońcem,  
miętko obcym poddają się nogom...

Pachnie kurzem tabakiera wnętrza,  
niezardnie milczą gołe ściany,  
w pudle farb pogniecionych tęcza,  
na sztalugach portret: "Ktoś nieznany".

Teatralnie rozrzucone szkice...  
Choć niektóre, jak mgła z ponad serca,  
szczerze patrzą zatartym obliczem:  
bliskie mnie i wszystkiemu - życiu i śmierci -/

Uśmiech biały, przyjacielu,  
usta, co jeszcze nie rozgryzły miłość,  
ręce lekkie jak mewa - -  
niech się weselą:

[zaczynać życie - tak miło,  
gdy serce jak owoc nabrzmiewa !

--oOo--

"Chwał"

"Bez godła!"

34<sup>4</sup>

Defilada

w krwawym blasku  
na szabli zagrało słońce kolorowe  
i szeregi stepowych koni  
na defiladę powiódł oficer w kasku  
a potem szeregi nowe  
ludzi w strój ozdobionych broni  
na paradę! z bronią na paradę!  
więc raduj się, rodzie człowieczy,  
matki, bądźcie rade!  
z bronią, od której krew ludzka ciecze  
wasze dzieci idą na paradę!  
oto mi huczna defilada!  
bagnetami w górę sterczą karabiny  
do rozpuku się śmieją bagnety  
beztroskie w swojej niewinie:  
ludzka ręka przecież nami włada!  
myśmy zupełnie bez winy  
niewinne dziewczyny  
choć w nas chłopcy szukają podniety!  
a mnie się bagnety ostrzami  
wrywają gorzkim piołunem w pierś  
a rozśpiewane szeregi  
w jakimś szaleńczym wyją mi rytmie  
ustami  
szczerwienionemi rozpaczają  
ostre jak bagnet słowa

2  
,  
m e  
JH

1917  
[Faint, mostly illegible text]

[Faint, mostly illegible text]

[Faint, mostly illegible text]

[Faint, mostly illegible text]

2 113 6

U C I E C Z K A

Grey Owlowi, człowiekowi lasu,  
autorowi pięknej książki "Piel-  
grzymi puszczy".

Kultura, powiadacie, czy to nie są żarty?  
Sky - scrapery? i dymy zahukanych miast?  
O, ja wolę włóczęgę, canoe i narty  
Białą ciszę północy, konstelacje gwiazd

Płyniesz łodzią szczęśliwy ze swymi bobrami  
Codziennie witasz z brzaskiem nowy, inny brzeg  
Świat ma wtedy sens tylko gdy dyszy lasami  
Gdy lśni misami stawów, błyska nurtem rzek.

Pierwszy bulgot w przerębli mówi ci o wiosnie  
Ptaki niosą w gardziołkach srebrny, ranny śpiew  
W smukłe sosny ktoś wiosną napędzał radośnie  
I się spieszył, bo czuby dymiły już drzew.

Zbrodnie w puszczy czytałeś jak z książki otwartej —  
Gdy przybyli traperzy dla zysku i skór  
Tyś natychmiast przypinał do nóg chyże narty  
I za nimi, w ślad zbrodni, w ciemny gąszcz i bór.

Widzisz gdzie prościej już chyba nie było idylli  
Gdy Grey Owl ze swym bobrem długi dyskurs wiódł  
Smutek na drogach wieczorniał jak w biblii  
z drzew wysokich płynął szept nocy i chłód.

Przecież wtedy najbliższej było ci do Boga  
W słowach prostych rzeźbiłeś ciszę owych chwil —  
Mokasyny i sanie, żona i tobogan  
Śnieg liliowy od zmięchu na przestrzeni mil.



sterczą, w górę ku niebu

oto moja treść!

to treść moich słów!

a teraz o młodości mi mów

poeto! i o zieleni śpiewaj nieskończenie!

poić się będę rytmem twych słów

mów jeszcze, mów mi, mów...

kiedy wreszcie mi odpowiesz

~~czym?~~ <sup>nie!</sup> ~~czym?~~ <sup>czym?</sup> czerwienią?

S. F. alba

Pyramiden oder italienische P. Fündet  
sich allgemein bei Bologna, Ferrara in Modena  
wird dort aus Samen gezogen und von vielen  
Botanikern als selbstständige Art betrachtet, deren  
Vaterland man in Persien oder Zentralasien sucht.  
Ende des 17 Jhd. kam ein Exemplar nach Nürnberg, 100  
Jahre später ein männliches Exemplar nach Würzburg  
(aus der Lombardie) und von diesem stammen alle  
deutschen Exemplare ab. Man rechnet in ganz  
Deutschland mit acht weibliche Bäume. Anfänglich  
in Fürstlichen Anlagen gern benutzt, wurde sie  
später namentlich alleobrum wegen der den Versuch.  
Erster Anbau in schiedlichen Ausläufer und es  
vielen auf ihre vorkommenden Ungeziefers das  
wird nie in neuerer Zeit weniger angepflanzt.

nie 2 39<sup>8</sup>

Godło „Bez dogmatu”.

Postalgia.

O, móc się wyrwać, uciec jak najdalej,  
nie myśleć o żad: o świat, przed siebie,  
i wreszcie  
Ić gdzieś napuścić w słonecznym upale —  
Los rzucić wichrom w obłędzie i pędzie!...

Wyrwać się pętom i nie dbając o nic,  
Kawet, czy wszystko sui sui się, czy  
i nie sui,

Złoty chimery niemości dogonić  
Na błędnych szlakach wierzgowskiej  
Przebie.

List jakiś płoszący, pachnący legendą  
 Mózg Północnych i daleką drogą,  
 I blaskiem wielkich dni, które zdobyły  
 Poezję życia!... - List... skąd?... i od  
 Kogo?

Och, móc się wydostać, wymoczyć torturę  
 Tych dni bliźniaczych, które tak

Och, pójcie, nie zwlekajcie ani chwili  
 Pójcie, nie zwlekajcie ani chwili

Pójcie wprost przed siebie - wszystko  
 Jedno dobiegł.

2

10 6

Kiedy przyjdę i ręce wykręcą,  
 Żeby oddać już kratom, co trzeba,  
 (Kratom? Palkom? Sędziemu? Mordercom?)  
 - Nie będę wypatrywał jasnych skrawków  
 [nieka.

Kiedy swarze tych okrutnych gości  
 Niechaj padnie nad błakit jaśniejsze  
 światło spojrzeń, drżących od miłości,  
 Niech niem wówczas jeszcze się  
 [nacieszę!

Felc: wolre  
 rozcz. in: M - 10. VIII. 37.

407

## DODATEK

**zawierający dwa w przekładzie opuszczone  
fragmenty powieści.**

Przekład niniejszej powieści Shawa jest przedrukiem z felietonów jednego z dzienników lwowskich. Redakcja tego dziennika — o czym nas tłumacz zaniedbał uprzedzić — uważała za stosowne w dwóch miejscach powieści usunąć z tekstu dłuższe ustępy, które się wydawały zbyt rażącym i zbyt radykalnym wypowiedzeniem poglądów bohatera na ustrój ekonomiczny i stosunki społeczne. O tem ocenzurowaniu dzieła przekonawszy się niestety już po wydrukowaniu znacznej części powieści, nie mieliśmy możliwości dokonanego wandalizmu naprawić. Mając jednak niepłonną nadzieję, że wśród czytelników naszych znajdziemy więcej zasobów bezstronnej i przedmiotowej ciekawości wobec autorów tej, co Shaw, miary, oraz więcej tolerancyi wobec przekonań cudzych — wszak chodzi o bohatera powieści nie zaś o ludzi żywych — uważamy za swój obowiązek, zdefektowany tekst książki dodatkowo na tem miejscu uzupełnić.

Otóż ustęp pierwszy jest fragmentem rozmowy Trefusisa z jego żoną Henryetą, który wstawić należy w miejsce ustępu na str. 113, od wiersza 15 z dołu, zaczynającego się od słów: „Ale cóż za sens...” do słów ostatniego wiersza: „I dlatego tu pozostaje.” włącznie.

Brakujący ten fragment brzmić ma jak następuje:

Z pustym żołądkiem, drżąc, z wycieńczenia z głodnymi żonami i dziećmi, znaleźli się na łasce Opatrzności w kraju, który nazywali własną ojczyzną, w którym jednakże każdy strzęp ziemi i wszystkie możliwe źródła pożywienia były w szczerlnie obwarowanym posiadaniu imych pod zbrojną

strażą wojska i policyi. Beznadziejność położenia zmuszała tych głodomorów żebrać o dostęp do fabryki z surowcem bawełny i poprzestać na byle czem, aby jeno wyżyć z dnia na dzień. Mój ojciec pozwolił im wspaniałomyślnie na użycie swej fabryki, swych maszyn i swej bawełny pod jednym ątoli skromniutkim warunkiem. Musieli długo i ciężko od wczesnego rana do późnego wieczora harować, aby jego surowej bawełnie, przerabiając ją na tkaninę, przysporzyć nową wartość. Z tej wytworzonej przez nich nadwartości musieli mi przedewszystkiem złożyć opłatę za wszystko, czego im dostarczył, za lokal, dach nad głową, gaz, wodę, maszyny i bawełnę, a potem wynagrodzić go jeszcze za własne jego czynności, jako dyrektora, kierownika i kupca. Pod tym względem nie żądał nic ponad to, co mu się ściśle należało. Skoro jednak wszystkie te pozycje były już opłacone, pozostała jeszcze kwota, którą oni wyłącznie swojej już tylko zawdzięczali pracy. „Z sumki tej“, orzekł mój papa, „otrzymać powinniście w sam raz taką porcyę, aby was głód nie dobił, resztę zaś dacie mi w nagrodę za to, że umiem pieniądze tak zręcznie gromadzić. Ote interes, jaki wam proponuję. Jest on, mojem zdaniem, bardzo dla was korzystny i doskonale potrafi budzić wśród was zmysł oszczędności. Jeśli sprawa ta przedstawia się wam w odmiennem świetle, możecie sobie sami sprawić fabrykę i bawełnę. Moja nie będzie wam potrzebna“. Innemi słowy, wolno im było iść do czarta i zdychać z głodu, wedle gustu, gdyż wszystkie inne fabryki były w rękach równie zanych mężów, którzy podawali warunki nie lepsze. Ludzie w Manchester nie umieli jednak przywyknąć do śmierci głodowej i przykro im było patrzeć, jak dzieci ich z głodu marły. przyjęli zatem ofiarowane im warunki i wstąpili do fabryki. Jak się domyślasz, na takich warunkach nie mogli oni uzbierać sobie na zapas pieniędzy, jak to on umiał robić. Stwarzali więc ogromne bogactwa, a żyli bardzo nędznie, tak, że nadwyżka, którą za nic składali memu ojcu, była nader pokaźna. Kupował za nią jeszcze więcej bawełny, jeszcze więcej maszyn i jeszcze więcej fabryk. Zatrudniał coraz więcej ludzi, którzy stwarzali mu majątek i widział, jak jego mienie wzrasta z szybkością staczającej się kuli śniegowej. Wzbogacił się olbrzymio, ale robotnicy jego choć nie mieli się lepiej niż dawniej, nie śmieli być natrętni i z pieniędzy, jakie wytwa-

rzali nie mogli więcej żądać, gdyż na ulicy czyhało wciąż dosyć głodnych włóczęgów, którzy na dawnych warunkach gotowi byli w każdej chwili miejsca ich zająć. On za to miał częste kłopoty z kryzysem, wtedy na przykład, kiedy w zapale powiększania składu kazał ludziom swym przerobić więcej bawełny niż jej publiczność potrzebowała. Albo kiedy nie mógł dostać surowej bawełny, jak się trafiło podczas amerykańskiej wojny domowej. Wówczas przystosowywał się do okoliczności i odprawiał tyle robotników, ile tego mniejszy zbyt czy zapas bawełny wymagał. Wydaleni morzyli się naturalnie głodem albo stawali się ciężarem publicznej dobroczynności. Podczas wojny domowej krążyła imponująca lista skladek na rzecz tych nieszczęśliwców, a ojciec mój ofiarował sto funtów mimo znacznych, jak mówił, strat własnych. Potem kupił nowe maszyny, a ponieważ przy nich kobiety i dzieci pracować mogły równie składnie, jak mężczyźni, a były tańsze i powolniejsze rozkazom, wysadził mniej więcej siedemdziesiąt z każdej setki swych rąk, jak nazywał robotników, na bruk i zastąpił je ich żonami i dziećmi, które prędzej od nich robić dla niego umiały pieniądze. W tym czasie dawno już przestał sam fabrykami swemi zarządzać i zdolnym ludziom, którzy własnego majątku nie mieli, płacił po parę setek funtów rocznie, aby go w tem wyręczałi. Nabył też akcyje innych przedsiębiorstw, urządzonych wedle tych samych zasad. Zgarniał dywidendy, pochodzące z okolic, których nigdy nie zwiedził i z pracy ludzi, których nigdy nie widział. Kupił sobie od biednych i przekupnych wyborców mandat do parlamentu i był pomocny w obronie ustaw, które go wielkim zrobiły. Później, kiedy rozgłos jego bogactwa coraz bardziej się szerzył, nie miał potrzeby już nikogo przekupywać, gdyż ludzie nowocześni czczą bogatych jak bogów i wybierają kandydata z tego prostego powodu na swego przewodcę, że jest milionerem. Małpował szlachtę, miał pałac w Kensington i kupił sobie kawał Szkocyi na rewir myśliwski. Nie jest to wcale trudno urządzać rewizy, gdyż drzewa zgoła do tego są zbędne. Wygania się poprostu chłopów, burzy ich chałupy i robi pustynię z kraju. Mój ojciec polował wprawdzie nie wiele, ale wydzierżawiał zazwyczaj podczas sezonu prawo polowania innym, którzy w tej zabawie się lubowali. Sprawił sobie żonę z krwi szlacheckiej — a mało pocieszający rezultat tego mał-



żefstwa stoi właśnie przed tobą. W ten sposób udało się Imci panu Jesse Trefusis, ubogiemu kramarzowi, zostać plutokrata i właścicielem ziemskim. I w tento sposób ja również, który w życiu swoim najdrobniejszej choćby pracy nigdy nie przedsięwzięłem, jestem przeładowany bogactwem, podczas gdy synowie meżów, których dziełem jest całe moje bogactwo, pełnią dalej jak ich ojcowie pracę niewolników, jeśli nie mra z głodu, nie tłuką się w poniewierce po domach poprawczych, lub nie waleśają po zaułkach, Bóg raczy wiedzieć gdzie i za czem. Co myślisz o tem, najdroższa?

— Ale cóż za sens dręczyć się tem wszystkim, Sydney! Wszak nie jesteś w stanie nic w tem zmienić. Zresztą ojciec twój jeśli szczydził pieniądze, gdy inni o nie nie dbali, zasłużył sobie na to, aby zrobić majątek.

— Masz rację! Tylko, że on właśnie nie robił żadnego majątku. Brał tylko majątek, który robili inni. W Cambridge uczono mię, że bogactwa jego są nagrodą oszczędności — tej oszczędności, która mu umożliwiła tak wiele odkładać. Uspokajało to moje sumienie, póki dziwić mnie nie zaczął fakt, że ktoś może sobie drugim kazać płacić za cnotę. Wtedy pojawiło się pytanie: na czem oszczędza mój tatuś? Robotnicy oszczędzali na jedzeniu, pićiu, świeżem powietrzu, dobrej odzieży, przywoitem mieszkaniu, na świątkowaniu i wydatkach, na obcowaniu z rodziną, na wszystkim prawie, co czyni życie wartem życia. To było może przyczyną, dlaczego mnie więcej o dwadzieścia lat wcześniej umierali, niż ludzie z naszej sfery. Ale nikt ich nie nagradzał za ich oszczędność. Nagrodę odbierał mój ojciec, który żadnej sobie z tych rzeczy nie odmawiał a przeciwnie używał ich sobie do syta. Zresztą, jeżeli pieniąż byłby istotnie nagrodą oszczędności, musiałby mój ojciec, jakby logicznie wynikało, dziesięćkroć więcej oszczędzać wobec pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu niż gdyby go miał tylko pięć tysięcy. Trzeba było wyszukać coś takiego, na czem mój ojciec oszczędzał, a w czem robotnicy byli rozrzutni, coś, na czem on w miarę bogacenia się coraz więcej oszczędzał. Jedyną taką rzeczą, która ściśle tak postawionemu założeniu odpowiadała, była właśnie tylko ciężka praca, a ponieważ nigdy jeszcze nie widziałem człowieka rozumnego, któryby drugiemu za jego próżnowanie coś płacił, zacząłem pojmować, że prawdziwe do-

chody mego ojca były gwałtem wymuszane. Aby mu oddać sprawiedliwość nigdy on sam oszczędnością swą się nie chępił. Uważał się za męża ciężko pracującego a w majątku swym widział nagrodę za ryzyko, kalkulacye, troski i podróże, które zmuszony być przedsiębrać o każdej porze dnia i roku. To uspokoiło mnie nieco, póki nie przyszło mi na myśl, że gdyby był żył o jedno stulecie wcześniej, gotówkę swą włożył w jednego konia i w parę pistoletów a został rabusiem byłby miał zgoła te same intencye — wydzierałby również drugim owoce ich pracy, nie dając im nic równowartościowego w zamian — a ryzyko jego byłoby wówczas znacznie większe, gdyż narażałby się przytem na szubienicę. Nieustanna praca z grożącymi mu wciąż funkcjonaryuszami władzy na karku i obliczenia, czy też ma pocztę do Dover jadącą obrabować, kosztowałyby go aż nazbyt wiele zachodu i kłopotów. I wogóle gdyby członek parlamentu, p. Jesse Trefusis, który zmarł jako milioner w swym pałacu na Kensington był rabusiem ulicznym, nie mógłbym odczuwać głębszej odrazy do urzędzeń społecznych, które podobną jak jego karierę nie tylko umożliwiają, lecz czynią jeszcze godną czci w oczach współżyjących. Większość ludzi obiera sobie za cel dążyć w jego ślady w nadziei dojścia w ten sam sposób do życia bogatego i próżniaczego. Dlatego odwracam się do nich tyłem. Nie mogę zasiadać przy ich biesiadach wiedząc, ile one nędzy ludzkiej kosztują i widząc, jak mało szczęścia ludzkiego przynoszą. Jakież jest twoje o tem zdanie, mój skarbie?

Henryeta zdawała się być nieco umęczoną. Mdló się uśmiechając rzekła pieściwym tonem:

— Nie jesteś temu nic winien Sydney. Ja ci nie biorę tego za złe.

— Święte moce! — zawołał, zrywając się na równe nogi, z błagalnem spojrzeniem ku niebu. — Ta oto tu niewiasta sądzi, że jedyną sprawą, jaka mnie na rzeczy tej obchodzi, jest dobra lub zła jej o mnie osobiście z tego powodu opinia!

— Nie, nie, Sydney. Nie tylko ja jedna, nikt o tobie z tego powodu nic złego nie myśli.

— Całkiem słusznie — odparł z uprzejmą wściekłością. Nikt w tem nic złego nie widzi. To jest właśnie najgorsze w całej tej sprawie.

— A zresztą — zauważyła z naciskiem — matka twoja pochodzi z jednego z najstarszych rodów w Anglii.

— I czegoż więcej człowiek może żądać niż bogactwa i szlacheckiego pochodzenia! Czyż może być ktoś szczęśliwszy niż jabym być powinien, skoro pochodzę od kogoś, który posiadał monopol wszystkich źródeł dobrobytu i wszystkich środków produkcji, ziemi i maszyn? Ten właśnie grunt i ta ziemia, na której tu stoimy, była własnością ojca mojej matki. A przynajmniej prawo pozwalało mu używać jej jako takiej. Kiedy był jeszcze chłopcem mieszkała tu gromada chłopów, jako tako szczęśliwych, którzy orali glebę, płacąc mu pewną rentę za to, że łaskawie im to czynić pozwalano. Zbierali tyle, ażeby uczynić zadość jego wielkim pretensjom i swoim małym potrzebom, nie zapracowując się przytem na śmierć. Ale mój dziadek byłto mąż chytry. Zrozumiał, że bydło i owce z mięsa i wełny więcej dochodu przynoszą niż chłopi ze swą rolną gospodarką. Oczyszczył więc drogi w okolicy. Wypędził no prostu chłopów z chałup zgoła tak samo, jakto nieco później uczynił mój ojciec na swych rewirach myśliwskich. Czyli, jak to wryto na jego nagrobku, odkrył dla swej ojczyzny nowe źródła dobrobytu. Nie wiem, co stało się z jego chłopami. W każdym razie i on o tem nie miał pojęcia a nie sądzę też, aby się o to był kiedy zatroszczył. Prawdopodobnie starzy dostali się do domów pracy, a młodzi tłumili się po miastach, pracując w fabrykach podobnych do fabryk mego ojca. W dawnych ich siedzibach rezydowało teraz bydło, a opłacało się ono za dostarczaną mu paszę tak znakomicie, że dziadek mój mógł na warunkach manchesterskich wynająć robotników, którzy kanał tutaj wykopali. Mój ojciec jako akcyonaryusz brał udział w tem przedsiębiorstwie. Gdy kanał był gotów, ustanowiono opłatę za żeglugę po nim, które spadkobiercy ich dziś jeszcze ściągają. A synowie robotników, którzy go wykopali i inżyniera, który plan jego rysował, płaca te daniny, ilekroć przypadkowo nim jeżdżą lub towary przewożą. Dziadka mego przypominam sobie bardzo dobrze. Byłto dostojny mężczyzna doskonały dżentelman w obejściu. Ale na ogół sądzę, że był gorszy od mego ojca, który raz ugrazłszy w mechanizmie wadliwego systemu musiał albo sam rabować innych, albo być przez nich rabowanym. Ale mój dziadek — stary wyga! — nie był w położeniu tak kłopotliwym. Był on

panem i władcą na swojej części starej wesołej Anglii, nikt nie był w mocy zrobić go niewolnikiem, powinien był zatem żyć i innym żyć dając swobodnie. Mój ojciec poszedł wprawdzie za jego przykładem, kiedy sobie rewiry myśliwskie zakładał, ale to też był szczytowy punkt jego szkodnictwa, podczas gdy dla dziadka było punkt wyjścia. Jakkolwiek bądź jednak rzecz się ma i komukolwiek z nich palma należy się pierwszeństwa, oni obaj są naszymi wzorami, które my wszyscy usiłujemy naśladować.

— Nie wszyscy, Sydney. My dwoje przecież bynajmniej. Nienawidzę przedsiębiorców i właścicieli dóbr. My należymy do klas kulturalnych, do warstwy artystów i możemy się zdala trzymać od handlarzy.

— Tak, a tymczasem możemy błogo spożywać wielokrotnie tysięcy funtów renty i odsetek. Nie, mój skarbie, tak robią ludzie którzy sami żyją w niebie i nie chcą aby im przypomniano o piekle, nie mają atoli nic przeciwko temu, aby ono poza ich świadomością w pełni istniało. Mam dla ojca swojego więcej szacunku — to jest myślę, że mniej nim się brzydzę, bo wyzysk i grabież sam własnoręcznie uprawiał — niż dla tych czułościowych próżniaków i tchórzów, którzy mu powierzali pieniądze, aby zapomocą nich innych wyzyskiwał i ograbiał i których nic zgoła nie obchodziło, byleby im tylko odsetki punktualnie wypłacał. Co się zaś tyczy przyjaciół twych, artystów, ci są ze wszystkich najgorsi.

— Och, Sydney, wziąłeś się na to, aby we wszystkim widzieć brzydotę. Artyści nie prowadzą przeciw fabryk.

— To prawda, ale fabryki są też tylko częścią w mechanizmie całego systemu. Jego podwaliną jest tyrania siły mózgu, która wśród ludzi cywilizowanych jest w mocy działać podobnie jak siła mięśniów pośród młodzieży szkolnej i dzikich. Chłopcy ze szkoły mówią: „Jestem silniejszy od ciebie musisz więc oddać się na moje usługi. Rozkaz dorosłych brzmi: „Jestem przebieglejszy niż ty, musisz więc być na moje usługi“. Stosunki te, którym się poddajemy, są same w sobie już dość przykre, stają się atoli nie do zniesienia, jeżeli tępi i mniej niż przeciętni potomkowie takich chytrych spryciarzy roszczą sobie prawo do dziedziczenia ich przywilejów. Tymczasem nikt tak uparcie nie jest przywiązany do nieograniczonych praw geniuszu i talentu jak twój artyści. Wielki malarz nie

zadawała się tem, że go poszukują i podziwiają, bo ręce jego, jak się rzecz ma istotnie, umieją więcej niż ręce zwyczajne—nie, chce on jeszcze tak być karmiony, jakby żołądek jego, co już wcale nie jest zgodne z prawdą, wymagał więcej pokarmu niż żołądki zwyczajne. Praca dzienna jest dzienną pracą, ani więcej ani mniej, i kto przez cały dzień pracuje, konieczne mu jest na utrzymanie, sen i wypoczynek, czy chłopem jest czy malarzem. Ale taki hullaj jeden z drugim malarz, poeta, lub powieściopisarz lub inny jakiś podobnie zbytkowne zajęcie mający nie czuje się dość zadowolonym, że pod względem powszechnego poważania wyżej stoi od chłopca, chce on jeszcze i pieniędzy mieć więcej, jak gdyby dzień miał więcej godzin w pracowni lub w bibliotece, niż na wolnym polu. Jak gdyby do wykonania swej pracy potrzebował więcej pokarmu od chłopca. Mówi o wyższości swego rodzaju pracy, jak gdyby to wyższe jej szacowanie było własną jego zasługą — jak gdyby miał prawo mniej sąsiadowi swemu świadczyć, niż on jemu świadczy, jak gdyby chłop nie obchodził się łatwiej bez niego niż on bez chłopca — jak gdyby wartość najstłynniejszych malowideł nie była wątpliwsza od prostej skiby ornej — jak gdyby nie trzeba było równie wiele lat nauki do wykształcenia ręki i oka murarza czy kowala jak artysty — jak gdyby, krótko mówiąc, dżentelman taki był naprawdę bóstwem, jak go o tem fantazyujący wielbiciel sztuki od lat zapewniają. Artyści są arcykapłanami nowoczesnego Molocha. Dziewięć dziesiątych wśród nich są to chore stworzenia, które tyle jeszcze tylko mają rozumu, że na swym rozstroju nerwowym umieją robić interes. Jedynym ich przymiotem, który budzi we mnie odrobinę szacunku, jest pewien wzniosły egoizm, który im każe raczej samemu morzyć się głodem i głodzić rodzinę niż robić coś, co im nie przypada do smaku.

— Naprawdę, nie masz zgoła racyi, Sydney. W szkole slōjdu kolegowalałam z dziewczyną, która z rysunków utrzymywała matkę i dwie siostry. Zresztą, cōż mozesz uczynić? Świat jest już takim i zmienić go nie jesteś w stanie.

— Tak dzięki naiwności ludzi jestem właścicielem ziemskim i kapitalistą, i oni tylko mogliby mi odebrać wszystko to, co posiadam. Ja sam natomiast nie mam możności wydobyć się ze swego położenia. Musiałbym chyba odstąpić moich niewolników ludziom, którzy nie lepiej postępowałiby z nimi,

aniżeli ja to czynię. Sam zaś musiałbym stać się niewolnikiem, co znowu zgoła mi się nie uśmiecha. Nie, moja droga, dla mego i twego dobra, muszę już nogę trzymać na ich karaku. Ale ty nie wiele dbasz o te nudne historie. Sumienie mnie dreczy, że cię, mój aniele, nabawiłem zmartwienia. Chcesz wiedzieć, dlaczego ja pustelnik, przebywam w dwóch izbach tej chaty, zamiast używać w Londynie rozkoszy życia towarzyskiego u boku swej pięknej i ubóstwianej małżonki.

— Ależ nie zechcesz chyba przecież Sydney, nadal tu pozostać?

— I owszem, i powiem ci również, dlaczego to czynię. Chcę robotnikom z Manchester, którzy byli niewolnikami mego ojca dopomagać do wyzwolenia. Aby to osiągnąć, muszą wszyscy ich współniewolnicy na całym świecie złączyć się w jeden, wielki, międzynarodowy związek. Muszą słu-bować, że zarówno pracą całego świata jak i jej wytwory rozłożą sprawiedliwie, nie dadzą żadnemu dorosłemu a krzepkiem leniuchowi czy symulantowi złamanego szeląga i uważać będą w społeczeństwie każdego za pasorzyta, kto zechce mieć więcej ponad udział z ogólnego dorobku niż przypadający, w pracy zbiorowej mniejszy biorąc współudział. Przeprowadzić to będzie bardzo trudno, gdyż i robotnicy, jak wszyscy ludzie, którym chce się dopomódz, własnych nie dostrzegają korzyści i pomagają często swym ciemniejszym własnych swych wybawców wyganiać przy lubych dźwiękach Rule Britannica lub innej, podobnie niedorzecznej bredni. Musimy najpierw głowy ich od tego wyzwalać a tymczasem pilnie pracować nad budową międzynarodowego związku robotniczego. Trudnię się teraz propagandą tych zasad. Pochodowi naszej idei rychłoby drogę zagroził kapitalizm, zorganizowany rzekomo celem rządzenia, w rzeczywistości jednak zmierzający do ujarzżenia narodu, gdyby istotę naszych zamiarów zrozumiał. Przypuszcza jednakowoż, że zajmujemy się knuciem zamachów i spiskami na głowy koronowane i podczas gdy policja w sposób niezdarny szuka na to dowodów, prawdziwe dzieło nasze spokojnie rozwija się dalej bez przeszkód. Czy ja sam istotnie sprawę popycham naprzód, nie jestem w mocy napewno tego twierdzić.

Drugi zgola niewinny przez cenzurę redakcyjną inkryminowany ustęp powieści jest fragmentem historii nagrobka żony Trefusisa i wstawić go należy między 14 i 15 wiersz z góry na str. 201 tekstu.

Opuszczony ten fragment brzmi:

Trefusis natrafił teraz na pewną trudność. Postanowił czeladnikowi zapłacić ściśle za wartość jego pracy, ani mniej ani więcej. Nie dało się to atoli obliczyć. Jedyne, jaki miał miernikiem była cena targowa, a tę, jako wynikającą wyłącznie z współzawodnictwa kapitalistów, z góry odrzucał. Wszak przedsiębiorcy zysk swój osiągnąć tylko mogą, dostając od robotników więcej wytworów pracy, niż za nie zapłacili — odbiorców zaś swych kuszą do kupna, zapomocą opustu ceny, zrzekając się na rzecz ich pewnej części niezapłaconej pracy. Przedsiębiorcy dostarczyli wszak robotnikom nieodzownych środków życia i pracy pod tym tylko warunkiem, że oni znów próżnującej klasie przedsiębiorców zapewnią stosowne utrzymanie, sami zadowolając się znacznie niższą stopą życiową. Sprawiedliwe wyznaczenie zatem wartości zamiennej i uczciwa zgoda między nimi jest wręcz nieosiągalna. Trefusis był ostatecznie zmuszony zapytać kamieniarza, coby on za wykonanie projektu musiał żądać jako zapłaty przyzwoitej, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że jeszcze mniej od niego jest on w możności kwestyę tę należyście rozwiązać. Gdyby bowiem był nawet żądał tyle, ile spodziewał się dostać, żądanie było przecież uwarunkowane jego ubóstwem i konkurencją z właścicielem przedsiębiorstwa kamieniarskiego. Trefusis załatwił sprawę w ten sposób, że ofiarował dwa razy tyle, jak przedsiębiorca pierwotnie żądał, stawiając jedynie jako warunek, że kamieniarz musi całą pracę sam wykonać i nie wolno mu liczyć na żaden zysk uboczny z najmowania innych robotników.

Ku zdumieniu rysownika sam projekt atoli miał być jeszcze osobno wynagrodzony. Kamieniarz wahał się długi czas między żądaniem dwóch funtów i czterdziestu szylingów, a pięciu funtów, aż mu jeden z towarzyszy pracy przy traktamencie grogiem wpoił odwagę żądania wyższej kwoty. Trefusis wypłacił ją natychmiast i zabrał się do obliczenia, ileby też podobny projekt działa wybitnego profesdra aka-

demil był kosztował. Zasięgnawszy w tym celu opinii pewnego dżentelmana na takim właśnie stanowisku, którego przypadkowo znał osobiście, dowiedział się, że prawdopodobny koszt wynosilby pięćset do tysiąc funtów. Trefusis nie tail się z wypowiedzeniem przekonania, że żądanie kamieniarza wydawało mu się rozsądniejsze, na co mu jego przyjaciel artysta z pewnem rozdrażnieniem przypomniał, ile lat akademii sztuki poświęcić musi rzeźbiarz zanim wykształci do tak wysokiego stopnia swą biegłość artystyczną. Trefusis zarzucił, że czas nauki czeladnika kamieniarskiego trwa równie długo, jest zaś dwakroć tak żmudny, nie będąc w połowie tak miły. Artysta wmawiał sobie dotąd, że sympatyzuje z socjalistycznymi poglądami Trefusisa, teraz jednak zaczął się w nich dopatrywać czegoś równie brzydkiego, jak niebezpiecznego. Zarytał, czy za talent nie należałoby się nic płacić, na co gwałtownie odparł Trefusis, że talent właściciela swego nic nie kosztuje i jest dziedzictwem całego gatunku, które przypadkowo dostaje się jednemu człowiekowi. Jeśli więc ten człowiek monopolu swego używa na to, aby innym wyciągać pieniądze, nie zasługuje na nic lepszego, jak na szubienicę. Artysta stracił wreszcie cierpliwość i zauważył, że Trefusis jeśli już nie umie odczuć, iż przywileje sztuki są pochodzenia boskiego, zdola przynajmniej pojąć, że żaden malarz nie będzie tak głupi, aby za pięć funtów projektować nagrobek, skoro za malowanie portretu dostaje ich pięć tysięcy. Trefusis odpowiedział, że już sam fakt, iż ktoś płaci tysiąc funtów za portret, dowodzi, że pieniędzy tych nie zapracował i że musi być złodziejem lub żebrakiem. Zwyczajny robotnik, który na podarowanie swej bogdanie taniej fotografii poświęca ze swej tygodniowej płacy sześć pensów, lub który płaci cały szilling za parę oleodruków czy figurynek gipsowych z Delft, aby je ustawić na swym kominku, ponosi gwoli nabycia dzieła sztuki uszczerbek grubo wyższy niż właściciel dóbr czy akcyonaryusz, który jest zbyt bogaty, aby odczuwać ubytek tysiąca funtów wydanych na zakupno takiego obrazu jak Hogartha Jack Sheppard, obrazu zatem, który interesować może tylko ludzi studiujących fizyonomie kryminalne. Tu powstał żywy spór. Trefusis wytykał bezmyślność artystom, którzy wmawiają sobie, że są kasta kapłańska, będąc tylko pasorczytami i protegowanymi niewolnikami klasy posiadającej.



Jego przyjaciel, który stał się w mig jego wrogiem, drwił za to niemiłosiernie z wyrównywaczy, którzy wszystko sprowadzić usiłują do poziomu niższego, nie umiejąc go podnosić. Wreszcie znużyli się obaj kłótnią i wstydząc się wzajemnie swych ostrych przymówek spożyli po przyjacielsku wspólną kolację.

I. kor.<sup>13</sup>

13.VII

W dziele Solohuba znajdujemy skądinąd rzadkie zestawienie: najkrańcowszy, brutalny realizm z najkrańcowszą mistyką.

Nic w tem dziwnego. Życie rosyjskie jest pełne sprzeczności i wobec najbardziej niemożliwych połączeń musimy złożyć broń i powiedzieć: skoro to rosyjskie, wszystko jest w porządku.

Mistyk odczuwa zawsze wszelkie zjawiska konkretne silniej, niż jakikolwiek inny typ psychologiczny człowieka. Wszakże mistyka w przeciwstawieniu do religii jest właśnie przeżywaniem, a nie tylko wyznawaniem boskości we wszechświecie. Dusza mistyczna wszystko przetwarza na stany realistyczne, bo nie tyle ujmuje poznawczo, abstrakcyjnie, ile przeżywa. Więc po przez zjawę, a nie pomijając ją dociera do swych źródeł.

Lecz ponieważ istotnie była u źródeł, opromienienia rzeczywistość odblaskiem czegoś innego, wiecznego, otwiera poza nią lotne i niebieskie perspektywy. Wsącza jakby w rzeczywistość muzykę swojej ekstazy.

Solohub jest mistykiem bez ekstazy. Szuka jej, pragnie, lecz napróżno. Ani w perwersyi płciowej, ani w marzeniach o innym bycie nie znajduje drgnienia prawdziwej ekstazy. Bo w tej zimnej, żmijowej naturze ani płoną zmysły, ani duch. A żadna lampa elektryczna prawdziwego, wewnętrznego ognia nie

II

zastąpi. Jak zimny blask sztucznej elektryczności, jest jego uroczna, guślarska mowa o zaświatach. I ponieważ wszystko to chłodne jest w nim i sztuczne, więc ziemskiej zjawy ekstazą swoją nie opróżnia, że nienawidzi świata, ludzi, siebie, więc oddaje ją z całym bezbrzeżnym wstrętem, w całej nagości, nie starszy ani jednego bryźnięcia błota, ani jednej plamy, nie osłoniwszy ani jednego wrzodu.

Sołohub odrzuca cały ten świat małości, bólu, brudu, wrogości, skazuje go na zaturę i siebie wraz z nim. Tylko piękno cielesne i rozkosz cielesna, jako źródła ekstazy, są dla niego jasną stroną życia. Lecz i tu nie jest Sołohub prosty, harmonijny, jasny. Deklamuje o hellenizmie, a sam szuka piękna w perwersyi, bo zwykle podniety nie wystarczają dla tej wystygłej, mózgowej, sztucznej natury.

Wstręt i obrzydzenie do świata jest cechą iscie wschodnią, cechą biernej, niewolniczej natury, która nie potrafi rzeczywistości przetworzyć, złego w niej zwalczyć. Za to będzie się habrała, gmerała z upodobaniem w źle dookolnem, będzie podpatrywała ze szpiegowską bystrością drobne, małostkowe, złe pobudki czynów. Działanie zahamowane rozlewa się we wnętrzu człowieka w staw cuchnący. Kto czynnie ze światem się łączy i zdolny jest wyczuć, jak poza nędzną codziennością rośnie jednak i rozjaśnia się dusza zbiorowa, ten nigdy nie potępi życia. Kto kocha świat, ku temu on nigdy nie odwróci się obliczem wroga.

Sołohub, jak potworny pajak, siedzi, we własną głęb zapatrzony i snuje swe pajęczyny, pajęczyny uroczne, zgubne, trucicielskie. Realistyczna historia obłędu nauczyciela Pieredonowa urasta na symbol

wrogości świata. Zła siła, bies urągliwy, nie ten demoniczny, olbrzymi Lucyfer, lecz drobny, złośliwy, cuchnący chochlik kręci się dokoła duszy ludzkiej, nazawsze przerażonej i włada nią i oczynia.

Iście rosyjskiem jest żmudne, drobiazgowo wywlekanie wszelkich sytuacji niezręcznych, podłych, chaotycznych, pełnych wstydu, sprośności i brutalności. Rosyanina, zda się, korci, że jeszcze zostało coś niedomówionego, niewyrażonego, niekniętego. Bez względu na czystość i odór, musi sięgnąć wszędzie. Ta sama potrzeba psychologiczna, która każe dochodzić do samobiczującej się szczerości w godzinę pijaństwa lub nastroju metafizycznego, zmusza też wszystko obnażać, aż do żywego mięsa, aż wrzenie estetyczne przechodzi w kliniczne.

Dla polskich czytelników „Drobnego biesa“ od strony symbolicznej tej powieści ważniejszą ciekawszą jest strona realistyczna. Zawiera ona bowiem doskonałą satyrę rosyjskiego życia prowincjonalnego i sfer pedagogicznych.

Powiedziałem „satyrę“, lecz wyrażenie to nie jest ścisłe. Wszak jest to tylko wiernie oddany obraz rzeczywistości, która sama przez się jest żyjącą satyrą.

Czytelnik polski nie jest w stanie w zupełności odczuć tonu tej powieści. Po rosyjsku jest ona pisana językiem składającym się z wyrazów ludowych i urzędowych, przeplatanym tylko zwrotami zwykłego języka literackiego. Daje to zabójcze wrażenie niemożliwej, banalnej szarzyzny i brutalności z jednej strony, zaś martwej, sztywnej oficjalności — z drugiej.

Kto z nas nie znał tej oficjalności, tego mówienia wyrazami odbarwionemi z wszelkiej treści żywej,

IV

z wszelkiego uczucia, powykrecanemi tak, by stały, jak żołnierze na mustrze i nie uczyniły ani jednego ponad przepis ruchu!

Kiedy mówi dyrektor gimnazjum, Chrypacz, (nie inaczej, jak: „zakład powierzony mojej pieczy“, „muszę zaznaczyć“ i t. d.), albo przyszły gubernator, Wieriga, spadają na nas wyrazy, jak uderzenia kolby w kark. Ten suchy język stworzony jest jak gdyby do oddalania na wieki jednego człowieka od drugiego, do siania we wszechświecie poczucia obcości, osamotnienia i dławiącej przemocy, szorstka, szablonowa, przepisana w każdym wypadku! Ze wszystkich niesamowitych gestów rosyjskości ten ma w sobie grozy najwięcej. To jakby trup gnijący, który idzie w mundurze galowym, ruchami automatycznymi, tak automatycznymi, że włosy powstają na głowie.

Ludowe zwroty w powieści Sołohuba posiadają tyle brutalności, że w naszej mowie ich oddać nie można.

Jest tam to wycie wichru, to klątwy, to sprośność bezczelna, to gwizdanie kozackie. Spadają one na opanowanego przez zmorę tej powieści czytelnika, jak ciężkie szufle błota. I powstaje przed nami obraz życia zastygłego w ciężkiej tęsknocie i udręce. Dawniej duże „Biesy“ Dostojewskiego napastowały duszę rosyjską. Teraz drobny, nędzny, piskliwy bies płąsa zwycięsko nad bagnem, w które wszystko po-grążył. Duży Bies był wrogiem w otwartym polu. Mały Bies jest każdodzienną trucizną, sącząca się w żyły z oddechem, jest niewidzialną, nie dającą ująć się zmorą.

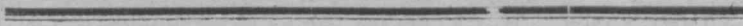
Gehe nna skurczyła się, stała się małą, czarną jamą, lecz wara zbliżyć się do niej. Trujące wyziewy



oczadzą i wepchną do niej niepostrzeżenie. Przy zetknięciu z państewkiem „drobnego biesa“ czujemy łamanie, ból głowy, od nieznośnego czadu. Tym czadem jest zbyt obnażający, zbyt dotykany, zbyt skórny i mięsny realizm, spotykany nie tylko u Sołohuba, lecz w całej literaturze rosyjskiej. Dlatego posiada ona tę suggestyjność, ten magnetyzm węzowy, jak wszelkie zjawisko sensacyjne, które i wzbudza odrazę i niezdrowo pociąga. Między tą literaturą, a literaturą zachodu jest taka różnica, jak między kinematografem a teatrem w wysokim stylu. Działa na zmysły więcej, niż jakakolwiek inna literatura i dlatego tak łatwo podpaść pod jej wpływ. Trzeba się nad tem głęboko zastanowić. Trzeba znać to życie, na którego wpływy tyle naszej młodzieży jest wystawione.

I stosunek nasz do tej powieści powinien być wyłącznie poznawczy. A do poznania, trzeba przyznać, jest wiele, gdyż „Drobny bies“ jest momentem samoobnażającej się i samobiczującej się szczerości literatury rosyjskiej.

*Eugeniusz Zahorski*



IV 29  
„Dobry bies Teodora  
Tatubaba.

~~W dziele Tatubaba~~  
~~znajdujemy~~  
~~skądinąd~~ ~~radkie~~ ~~resta-~~  
~~wienie: najkrainawoy, brutal-~~  
~~ny realizm z najkrainawosa~~  
~~nislyka.~~

~~W~~ <sup>nie, w ten dziwny</sup> życie rosyjskie jest peł-  
ne sprzeczności i wobec naj-  
bardziej niemożliwych poto-  
ceń musimy stać się broni  
i powieścić: skoro to rosyj-  
skie, wszystko jest w porządku.  
~~Tatubaba~~ ~~radkie~~ ~~nislyka~~  
ny, ~~W~~ ~~nie~~ ~~nie~~

~~Tatubaba~~ ~~nislyk~~ ~~nie~~ ~~od-~~  
~~czyna~~ ~~zawra~~ ~~wielkie~~ ~~zjawis-~~  
~~ka~~ ~~konkretnie~~ ~~silniej~~, ~~ni~~ ~~ja-~~  
~~kikolwiek~~ ~~inny~~ ~~typ~~ ~~psycho-~~  
~~logiczny~~ ~~człowieka~~. ~~W~~ ~~trakcie~~  
~~nislyka~~ ~~w~~ ~~przeciwstawieniu~~  
~~do~~ ~~religii~~ ~~jest~~ ~~właśnie~~ ~~pre-~~  
~~izowaniem~~, ~~a~~ ~~nie~~ ~~tylko~~ ~~wyzna-~~  
~~owaniem~~ ~~boskości~~ ~~we~~ ~~wszyst-~~  
~~kim~~ ~~świecie~~. ~~W~~ ~~obec~~ ~~tego~~ ~~Inna~~ ~~ni-~~  
~~slyka~~ ~~wszystko~~ ~~przedstawia~~ ~~na~~  
~~stany~~ ~~realistyczne~~, ~~bo~~ ~~nie~~ ~~nie~~  
~~tylko~~ ~~ujmuje~~ ~~postawę~~, ~~ab-~~  
~~strakcyjnie~~, ~~ile~~ ~~preizma~~, ~~w~~ ~~nie~~  
~~po~~ ~~prez~~ ~~zjawę~~, ~~a~~ ~~nie~~ ~~postrzegając~~

ja, deciera do swych inoet, <sup>2</sup>  
Lecr pocienar i stobnie by  
ta u inoet, sprawicicua recny-  
wislosc odblaskiem cregos  
innego, wiecznego, otwieru po  
ra nia, lobne i niebieskie  
perspektywy. Wsacra jakby w  
recnywislosc muryke swojej  
ekstary.

Sotakub jest mistykier ber  
ekstary. Laska jej, pragnie, lecr  
naproino. Cui w perwerzji  
ptciarnej, cui w maceciach  
o innym bycie nie znajduje  
drogicua prawekimej ekstary.  
Bo w tej zimnej, zimijamej na-  
kurze cui ptaua, zimysty, air  
dich, a iadna lampu elektrycz-  
na prawekimego, niezostane-  
go ognia nie rastapi. Jak  
zimny blask odlicznej elektrycz-  
nosci jest jego unesna, gu-  
slanska mowa o raiwiatach.  
I pocienar wogystho to chlod-  
ne jest w nim i odliczne,  
wize nienskiej jrawy ekstare  
swoja, nie apuarnicua. A  
ie niensawicki swiata, ludki,  
siebie, wize oddaje ja, z tade  
z calym bezbrerimym wstystem,  
w caliej nagosci, nie stantory  
cui jednego brujiniczia blo-  
~~ca~~ ta, cui jednej plauy,  
nie astawimory cui jednego



wrodzie.

~~Dla Sotobuba~~

Sotobub odrzuca cały ten świat małości, kółu, brudu, wrogosci, skazuje go na stratę i sobie wraz z nim. Tylko piękno cielesne i rozkosz cielesna, jako źródła ekstazy, są dla niego jasnym źródłem życia. Lecz i tu nie jest Sotobub prosty, najprościej, jasny. Deklaruje o belleznie, a same ruka piękna w perwersyi, bo zwykłe podmioty nie wystarczają dla tej wystygłej, niógowej, skucznej natury.

Wstręt i obrzydzenie do świata jest cechą życia wschodnia, cechą bliźniej, niemulskiej natury, która nie potrafi w rzeczywistości przemocy, tego w niej zrealizować. Za to będzie się babrąta, gmerała z upodobaniem w ile doskonałym, będzie podpastrywała re spiegowaska bystrością drobne, mataskome, te popularki cyrionów. ~~Wymiar~~ Działanie zahamowane noszenia się we wnętrzu człowieka w sławie eucharysty. Kto cyrionie re światem się łacny i rdolen jest wymieć, jak po ra niedona

codziennością, nośnię jednak<sup>214</sup>  
i rozjaśniam się duszą rżiwą,  
na, ten nigdy nie potępi życia.  
Kto kocha <sup>świat</sup> ~~łaski~~, ku temu <sup>on</sup> ni-  
gdy nie odwróci się obliczem  
wroga.

Łotokub, jak palmarium  
pająk siedzi w mięsnej głąb  
rapakowu i smije swe  
pajęczyny, pajęczyny urwane,  
czubne, trucielskie. Realistycz-  
na historia obłędu naucey-  
ciela Piędnorawa urasta na  
symbol wrogosci świata. Zła  
sita, kies wrogliwy, nie ten de-  
moniczny, albrzymi Lucifer,  
lecz dwojby, wstliwy, czechog-  
cy chochlik ~~stawa~~ & kusi się  
dokoła duszy ludzkiej, nara-  
wne puerariarej i woda nia,  
i cerynia.

Isie ryzykiem jest  
~~Emuque~~  
~~niedne~~, dobiargowe wywleko-  
nie wrelkich syluacyi nie-  
wczesnych, podtych, chachyer-  
nych, petnych wstygdu, nie-  
~~wrosz~~  
rosi, sprosnosci i brutalno-  
sci. Rosyauina, zda się, karci, że  
jesce zostało coś niedarmo-  
wionego, niewywarianego, nie-  
skrzętego. Bez względu na cry-  
stalic i odor, musi sięgnąć  
wzrokiem. Ta sama palnuka przy-

5

Chologiczna, która kare docho-  
dzić do samobiciajonej się, netero  
ści w godzinę pijactwa lub  
nastroju metafizycznego,  
nie summa tej wszystko abna-  
iaci, abnariac, ai do innego nie-  
sa, ai wracicie estetyczne  
pnechodki w kliniczne.

Dla polskich krytyków  
„Drobnego lica” od strony sym-  
bolicznej tej powieści wainiej-  
na, i ciekawą, jest strona  
realistyczna. Zawiera ona ho-  
wień doskonałą, satyrę, no-  
syjskiego języka prowincyo-  
nalnego i sfer pedagogicznych.  
~~W~~ # Paradedziatem „satyrę”, ten  
wyparcie to nie jest icie.  
Wszak jest to tylko wiernie od-  
dany obraz rzeczywistości, któ-  
ra sama przez się jest nija-  
ca satyra.

Krytyk polski nie jest  
w stanie w zupełności odnieć  
sensu tej powieści. Po rosyjsku  
jest ona pisana językiem  
składającym się z wyrazów  
ludowych i umiadowych, przeplo-  
taczym tylko ~~wyrazów~~ ~~innych~~  
~~głównych~~ ~~składających~~ ~~się~~ ~~z~~ ~~wyrazów~~ ~~ludowych~~  
tawir, zwykłego języka literac-  
kiego. Daje to zabójce wracicie  
nieumilimej, banalnej nanyany

63  
i kruszalności z jednej strony,  
zaś mądrej, zdyszaney optymal-  
ności - z drugiej.

Kto z nas nie znał tej ofi-  
cjalności, tego mówienia wy-  
razami odbarwionemi z wiel-  
kiej treści iymnej, z wielkiego  
necnia, powykręcaneu tak,  
by stały, jak iatniere na m-  
stce i nie ucyrniły ani jedne-  
go ponad przepis ruchu!

Piechy msier dyrektor gimna-  
zjum<sup>Chypracz</sup> (nie inaczej, jak: „zabład  
powierzony mojej pieczy”, „ma-  
ne rasnaczyć” i t.d.), albo przy-  
szły gubernator, Meriga, spr-  
daja na nas wyrazy, jak  
<sup>uderzenia</sup>~~nowy~~ kolby, w kark. Ten suchy  
gonyk smarany jest jakgdy-  
by do oddalania na wielki  
jednego ctaurika od drugiego,  
do siania we morchswiście  
poczucia abości, i asamobie-  
nia i dtauricej pkeucy, ~~u-~~  
<sup>branska</sup>~~u-~~, naklonawa, przepisana w  
kaidym wypadku mowa!  
le wszystkich niewamowitych  
gestów nosyjskości tu ~~jest~~  
ma w sobie grony najwziej.  
To jakby trup gnijący, który  
idzie w mundure galowym  
nuchauis-automatyzmuis,  
tak automatyzmuis, i mto-

sy powstają na grawie. 7

Ludowe zwroty ~ powrót  
Sotekuba posiadają, które były  
• buntalności, że w naszym mo-  
wie ich oddać nie można.

~~Jest to jego powrót jeden~~  
abrac: Jest tam to wybie wi-  
chu, to błyski, to sprasnie  
bercelna, to gwizdanie karac-  
kie. Spadają one na oparowa-  
nego pnie smole tej powrót  
cymbelika, jak ciężkie orfle  
biata. 7 powstaje przed nami  
abrac życia, rozległego w  
cisłej leskocie i udnie,  
Dawniej dwie „Biesy” dostają,  
skiego napastowały dwie  
rosyjska. Teraz drabiny, udany,  
piśkliwe bies płosa wy-  
różko nad bagnem, w które  
wszystko pogrzeżył. Dwie Bies  
były wrogie w atwarlem polu,  
Maly Bies jest kardodzieńna,  
Anucisna, szeroka, się w żyty z  
oddechce, jest niewidzialna,  
nie dająca, ująć się zwraca.

Geenna ~~stała~~ się skurczy  
ta się, stała się mała, czar-  
na, jama, lecz wawa zbliżyć  
się do niej. Trójce wyniewy  
ceradra i wpełzną do niej  
niepostępnie. Przy rekiercin  
z paistewkiem „drobnego  
biesa” cująmy ~~o~~ Tamanie,

biel grany od niernosnego 8  
crade. Tym cradem jest rbyht  
obnarijacy, rbyht dohykalny,  
rbyht skarny i mierny rea-  
lism, upolykany nie tytko  
u Lotahuba, leu w caly eite-  
raluce rasyjskiej. Dlatego  
posiada ona te, ~~ty~~ sugge-  
slyjnosć, ~~te~~ tu magnetyzm  
merawy, jak muelkie jawis-  
sensacyjne, klone i wchuch-  
odvare, i niernomo precizga.  
Miedny ta, literatura, a litera-  
tura, rashedu jest taka rari-  
nica, jak miedny kinemato-  
grafem a ~~sympia~~ teatrem w  
naysokim style. Driata na  
zmysty wiczej, niu jakakolwiek  
inna literatura i dlatego ta  
Tadmo <sup>podpasie</sup> pod jej wplyw. Treba  
sie nad tem gliboko zastano-  
wic. Treba znać to iycie, na  
klonego wplywy tyte naszej  
wtodniey jest wystawiane.  
F slasunek nas do tej powie-  
sci powierien być ~~pred-~~  
~~war~~ wytgescnie posnawcy.  
A do posnawia, treba przy-  
znać, jest wiele <sup>gdzi</sup> "Drobny  
bics" jest <sup>momentem</sup> chwila, samosobna-  
rajacej sie i samobicnyjacej sie  
norenosci literatury rasyjskiej.

Eugeniusz Zakarster

Wstęp do książki  
"Dobry wie" Solonka  
"Dobry wie" Solonka  
Dobry wie, jak  
cały świat i przyroda  
do nas  
D.S.

Dodatek dwa opuszczone w przekładzie  
fragmenty powieści zawierający.

Przet

Przetad niniejszej powieści Shawa jest jure,  
 drukiem z foliówion jednego z dziełników lwowskich.  
 Redakcja tego dziełnika — o czeu nasttumar  
 kanioblat uprzedzi — uwaraba za stasowne w dwóch  
 miejscach ~~powieści~~ <sup>powieści</sup> usunąć ~~niektóre jej ustępy~~ <sup>niektóre jej ustępy</sup> z ~~tekstu~~ <sup>tekstu</sup>  
<sup>ustępy</sup> ~~ustępy~~, które ~~by~~ <sup>by</sup> się wydawały zbyt ~~zawężonym~~ <sup>zawężonym</sup> i zbyt  
 radykalnem wypowiedzeniem poglądów Boha,  
 tera na ustroj <sup>ekonomiczny</sup> i stosunki <sup>społeczne</sup> ~~społeczne~~,  
~~Realizacja~~ <sup>Realizacja</sup> ~~temu~~ <sup>temu</sup> pcenturovanu ~~niebajako~~ <sup>niebajako</sup>  
~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~by~~ <sup>by</sup> po wydrukowaniu ~~tego~~ <sup>tego</sup> znacznej części  
 powieści, nie mieliśmy możności <sup>zakończonego</sup> wandalizmu ~~tego~~  
 naprawić. Mając jednak nieplonną nadzieję,  
 że wśród czytelników natycht najdroższy więcej  
 zasobów Verstronnej i przedmiotowej <sup>ciekawości</sup>  
 wobec autora tej, co Shaw, miary, oraz więcej tole-  
 rancji wobec przekonań cudzych — wszak chodzi  
 o Bohatera powieści, nie zaś o ludzi <sup>z innych</sup> — uwa-  
 żamy za swój obowiązek, ~~zakończyć~~ <sup>zakończyć</sup> ~~ustępy~~ <sup>ustępy</sup> Książki  
 dodatkowo na tem miejscu wręczyć.

Otoż ustęp pierwszy jest fragmentem normowy Trefusisa  
 z jego iony Steuryta, który wstawić należy ~~na str. 113~~  
 w miejsce ustępu na str. 113, od wiersza 45 z Boha, kasryna  
 jego się od słów: "Ale coż za sens..." do ~~ostat~~ <sup>ostat</sup>  
 niego wiersza: "I dlatego tu porostają" wstawić.



Brakuje tu fragment drzewi na, jak należy:  
16

z pustym zobekiem, drze z <sup>wybieżeni</sup> ~~zobekiem~~ <sup>zobekiem</sup> ~~zobekiem~~  
z głodem i znanymi i drzewami <sup>zobekiem</sup> ~~zobekiem~~  
~~zobekiem~~ na basce Opactwa w kraju, który ma  
tytuł własny boryna, w którym jednakże  
bardzo strop ziem <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ możliwe ~~wzrostki~~  
porównania były w przewlele obwarowanym  
porównaniu innych podstraz <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
i innych <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
zobek o dęsto do fabryki z surowcem <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
i <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
na dzień. Mój ojciec <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
wspaniałomyślnie na wzięcie swej fabryki <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
matym i swej dawce pod jednym <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
mnieknie warunkiem. Musieli długo i ciężko  
od wresnego rana do późnego wieczora haro-  
wai, aby jego surowej dawce <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
na <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
wytworzonej przez nich nadwartości musieli  
Imu <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
czego im dostarczył, za lokal <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
gdz, wodę matym i <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
wy nagrodzić go jemu za własne jego  
czynności, jako dyrektora kierownika i  
Rępa. Pod tym względem nie żądał nic ponad  
to co mu <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~ <sup>wzrostki</sup> ~~wzrostki~~  
wzrostki te porzuce były już opłacone, poro-





490

naprzyżni a były tanie i powolnie  
rosłakom, wyszedł muij więcej sielom  
diesią z każdej setki suryk rak, jak  
narywał robotników na bruk i zastąpił je  
ich konami i dziećmi którzy przed  
nich umiali robić dla niego pieniądze.

W tym czasie dawno już przestał ~~podrywać~~  
sami fabrykanci swoim karzą i ~~zabijać~~  
zdolnych ludzi, którzy własnego majątku nie  
mieli, <sup>go nie mieli</sup> płacił stare setki funtów rocznie, <sup>aby</sup> ~~by~~  
<sup>to nie</sup> ~~zabijać~~ <sup>wykorzali</sup> ~~zabijać~~ <sup>zabijać</sup> ~~zabijać~~ <sup>zabijać</sup>  
i ujęt przedsiębiorstw urządzonych wedle gustu  
samiż rasas. Zgarniał dywidendy, pochodzące  
z plant, a których nigdy nie widział i z pracy  
ludzi których nigdy nie widział. Kupił sobie  
od biednych i przekupnych wyborców mały  
<sup>30</sup> ~~parlament~~ <sup>to</sup> i ~~parlament~~ <sup>to</sup> by pomógł  
w obronie ustaw ~~parlamentu~~ które ~~parlamentu~~  
wielkim <sup>zabijać</sup> ~~zabijać~~ <sup>zabijać</sup> ~~zabijać~~ <sup>zabijać</sup> ~~zabijać~~ <sup>zabijać</sup>  
coraz bardziej się wzbudził nie miał potrzeby  
już ~~już~~ <sup>już</sup> ~~już~~ <sup>już</sup> ~~już~~ <sup>już</sup> ~~już~~ <sup>już</sup> ~~już~~ <sup>już</sup>  
nowożeńni chęć bogatych jak bogoni i  
wybierają kandydata z tego prostego powodu  
na swego przeciwnika, nie jest milionerem.  
Miał powal ~~parlamentu~~ <sup>parlamentu</sup> ~~parlamentu~~ <sup>parlamentu</sup> ~~parlamentu~~ <sup>parlamentu</sup> ~~parlamentu~~ <sup>parlamentu</sup>  
sington i kupił sobie kawę Skrocy na  
rewis myśliński. Nie jest to wcale trudno  
~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
zgodą do tego ~~zgodą~~ <sup>zgodą</sup> ~~zgodą~~ <sup>zgodą</sup> ~~zgodą~~ <sup>zgodą</sup> ~~zgodą~~ <sup>zgodą</sup>  
Wygania się po prostu





tylko ciężka praca, a ponieważ nigdy jeszcze  
nie widziałem człowieka rozumnego, któryby  
drugiemu za jego próśnowanie coś płacił, zwłaszcza  
postanowił, że przedziwne dochody mego ojca  
były gwałtem wymuszone. Alby mu oddać  
szlachetności, nigdy on sam by oszczędności  
swoją nie chciał. Uważał się za mędrca  
iż to pracującego a w majątku swoim ni-  
czal nagrodę za ~~to~~ ryzyko, ~~co~~ kalkulacja  
czy troski i podrożeń, które zmurony był  
przeżywał o każdej porze dnia i roku.  
To uspokoiło mnie nieco, póki nie przy-  
szło mi na myśl, że, gdyby był żył a jedno-  
stalenie wreszcie, gotówko swą włożył w jedno-  
konia i w parę pistoletów a ~~restem~~ ~~własną~~  
<sup>restem własnym</sup> ~~własną~~ byłby miał egoba te same  
interwały — wydierałby to wiersz drugim powo-  
iż pracy, nie daje im ~~to~~ nic równowarto-  
ściowego w ramię — a ryzyko jego ~~zwodniał~~  
byłoby znacznie większe, gdyż naraziłby się  
gwałtem na kaźnię. Nieustanną pracą,  
a ~~groźną~~ <sup>temi</sup> mu wzięci funkcjonaryusami  
wtedy na parku i obliczenia, czy też na porcie  
do Dover jadąc obrał, wstępnie, ~~nie~~  
~~by~~ kontowałyby go aż narobił wiele rachów  
i. Mopotów. I wogóle gdyby członek parlamentu,  
p. Jesse Trevelick, który zmarł jako milioner  
w ~~swym~~ pałacu na Kensington, był dalusiem  
ulicznym, nie mógłby przewidzieć gwałtownej





905

Twoja pochodzi z jednego z najstarszych  
rodów w Anglii.

— J czepliwi wprzej stworzeń może rzucić  
mi bogactwa i słabeckiego pochodzenia!  
Czyli może być ktoś szlachetny niż ja bym  
był poimied, skoro pochodzi od Rogoś, który  
ponadto monopol wszystkich środków dobru  
i <sup>prywatnych</sup> środków produkcji, ziemi i maszyn? Ten  
właśnie grunt i ta ziemia, na której to stoi  
była własnością ojca mojej matki. A przynajmniej  
prawo porwałaby mu wyrzucić ją jako takiej.  
Kiedy był jeszcze chłopcem mieszkała tu grona-  
da chłopów jako tako szlachetnych, którzy  
orali glebę, płacąc mu pewną rentę za to, że  
kaszaliby im to czynić porwalano. Zbirali  
tyle ardeby uczyć się zalepsi jego urządzeni-  
stusyon i swoim małym potrzebom, nie  
za pracownicy się przytem, na śmierci. Ale  
mój diabeł był to mój chytry. Wzrosł, i  
był to j owce z męsa i wędliny wprzej  
właśnie przynosił mi chłopci ze swą rolą  
gospodarkę. Oczyszczył owce drogi w polu.  
Wypędził go prosty chłopów z ich chłobup,  
złoda tak samo, jak to nieco później widy-  
ł mój ojciec na swym rewidat myśliw-  
skich. Byli, jak to wprzej na jego nagrobku,  
odkrył dla swej ojczyzny nowe drzewa  
dobru. Nie wiem, co stało się z jego chło-  
pami. W każdym razie i on z tem nie miał



starej weselowej Anglii, niht nie byt w  
 moy drobic go niewolniczem, <sup>po niyymu dze</sup> ~~moj~~ radeu.  
~~moj~~ <sup>przepraszam</sup> ~~nie~~ <sup>ty</sup>, ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 i drugim, <sup>ty</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 poradz <sup>wspieranie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 sobie rewiry, mysliloscie karkadab, ale to te  
 byt ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 gdy da wiadka byto punkt wyjcia, jakkol,  
 wielkosc jednak kied sic ma i konsekwencen  
 i niek palma nalezy sic pierwotnoscia, ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 drajsz naszymi programi, ktore my wyzywaj uti,  
 bupeny nastadrosi.

- Nie wyzyw, Sydney. My dwoje przeniec Dymaj  
 omiej. ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 dobr, kedy nalezy my do klas kulturalnych, do  
 warstwy artystow i moicmy sic z pola trymai  
 od henkerry.

- Tak a tymczasem moicmy bogo spojny  
 wielkosc tykicy funtow renty i osetek. Nie  
 moj sherbie, tak rola ludie, ktory sami kija  
 w miecie i nie chca <sup>alzem</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 nie majer atolu <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 wiadomosc w polni istnabo. Mam dla oje  
 swojego wyzej, sraunku — to jest ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 myloz, ze moiej niu sic ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 i grabier san ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 dla tych ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 ktory mu ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 drugich ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>  
 nie ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~nie~~ <sup>nie</sup>

wybuch. Co się zaś tyry pragnień twych  
artystów, ci są nie wyjątki, są gorsi.

- Och Sydney <sup>niecierpię na to</sup> ~~niecierpię na to~~ <sup>niecierpię na to</sup> aby  
we wszystkich światach <sup>niecierpię na to</sup> ~~niecierpię na to~~ <sup>niecierpię na to</sup> artyści nie  
prowadzą przenie fabryk.

- O! To prawda, ale fabryki są też tylko  
częścią w mechanizmie całego systemu. Jego  
podwalina jest tyrania sily mózgu, która  
wśród ludzi cywilizowanych <sup>to mój jest</sup> ~~to mój jest~~ <sup>to mój jest</sup>  
dziabai podobnie jak sily muskularnej <sup>podróż</sup>  
młodzieży <sup>szkolnej</sup> i dżurich. Chłopcy ze szkoły

moje <sup>jestem silniejszy od ciebie</sup> <sup>musisz</sup>  
<sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
<sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
nie ty, musisz <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
Stosunki te, którym się poddajemy są same  
w sobie już dość przykre, staj się atoli nie do  
zmierzenia, jeżeli <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
spryciarzy, <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
ich przyklejów. Tymczasem nikt <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
nie <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
pragniany do nieograniczonych praw se-  
kularu i talentu jak twój artysta. Wielki  
malarz nie radości się też, że <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
poprawia i podziwia, bo <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
są <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
wtedy niż <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
jedną tak wie harmonij jakby <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
co <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>  
potarciu niż <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup> <sup>nie musisz</sup>

Dziecina jest dzieciną przez, ani więcej  
 ani mniej, i sto pręc. cały dzień pracuje  
 potrzebując warte potrącającą jest koniarni  
 mu jest na to utrzymanie ten i wygody  
 czy ~~chłopca~~ <sup>chłopca</sup> ~~nie~~ jest czy malachem  
 Ale taki jeden z drugim kulturalny malarski  
 poeta lub powieściopisarz lub idący jakiś  
 podobnie zbyteczne zajęcia mający nie cnie  
 się wsi radzicolonym że pod względem po  
 wrechnego prowadzenia więcej stoi o chłopca  
 choć on jeszcze i pięćdziesiąt więcej  
 gdyż więcej w pracowni lub w bibliotece  
 więcej godzi się niż na włocem polu  
 gdyż ~~potrzebuje~~ do wykonania swej  
 potrzebował więcej pokarmu o chłopca  
 Mówi o wyzrosi swego rodzaju pracy jak  
 gdyby to wyiszczenie ~~pracowanie~~ było własną  
 jego zasługą - jak gdyby miał prawo mieć  
 pracowni swemu świadczyć niż on jemu  
 świadczy jak gdyby chłop nie obchodził się  
 satysfakcją bez niego niż on bez chłopca  
 jak gdyby wartość najskromniejszych malarskich  
 nie była wątpliwa o prostej skiby  
 o innej - jak gdyby nie trzeba było również  
 wiele lat nauki do wykształcenia się i  
 oświecenia czy dowiedza jak artysty -  
 jak gdyby, Arthur mówiąc <sup>diplomatem</sup> ~~nie~~ taki był  
~~nie~~ jak naprawdę ~~nie~~ jak  
 go o tem od lat fantazyjny i wielki  
 wiele sztuki zapewniają. ~~nie~~



15 51

Starego jak pustelnik, przebywan ~~to~~  
w dwóch izbach tej chaty, zamiast wyczerpi  
wizyty w Londynie życia, forsaryskiego u  
woku swej pięknej i ubóstwiającej matronki?  
— atlei nie recheny <sup>czyby</sup> przeuści, Sydney,  
nadal to porostei?

— Jowsem. i poriem ci rodniei starego.  
to czynię. Chę robotnikom z Manchester  
rwy byli niewolnikami mego ojca ~~plęwaga~~  
~~do~~ <sup>wyprowadzić</sup> wywolenia. Aby to osiągnąć,  
muszę wyciążyć ich współniewolnicy na sa-  
wym świecie ~~których~~ się w jeden, wielki, między  
narodowy związek. Muszę służyć nie karabinem  
pracy całego świata jak i jej ryturyi rozkora  
sprawiedliwie, nie dając żadnemu droższemu a  
brzeptkiemu lemiuchowi czy symulantowi zhami-  
nego srelaga i uwariai będą ~~cały~~ w społeczeństwie  
starego za paszaryta, kto ~~wzrost~~ ~~wzrost~~  
~~zaprosić~~ ~~reche~~ ~~nie~~, ~~współ~~ ~~ponad~~ ~~udział~~  
z publicznego dorobku ~~mu~~ ~~przy~~ ~~padaj~~ ~~mu~~ ~~sz~~  
~~musi~~ ~~w~~ ~~pracy~~ ~~biurowej~~ ~~musi~~ ~~by~~  
brojac współudział. Przeprowadzić to ~~moż~~  
vario opie trudno, gdyż i robotnicy, jak  
wyciążyć ludnie, którym imie się deponów, ~~wład~~  
nysh nie ~~wstęga~~ ~~korzyści~~ i pomagaj,  
czesto swym ciemniaczem ~~własnych~~ ~~suł~~  
wybawców wyganiai przy lubych ~~stwierdzeń~~  
Rula Britannia lub ~~innego~~, podobnie





Trefusis natrafio tevar na poudg trudnoti.  
 Postanovio ereladn dori ~~hukniciankian~~  
 zapbacio sicut <sup>za</sup> wartoti jego prau ani muij  
 ani wiecej. ~~illa~~ ~~mercholaraj~~ ~~kolatali~~ Nie  
 dabo sig ~~obliwyc~~. Jedynym, ~~ustaw~~ <sup>ale</sup> jak miad,  
 niernikiem byla cewa targowa, ~~ktora~~ <sup>ato</sup> ~~judow~~  
~~zaspoc~~ ~~zaspoc~~ jako ~~par~~ <sup>wynikajaca</sup> ~~kolka~~  
<sup>wspolnie</sup> ~~zospo~~ ~~brawodnictwa~~ kapitalistow, ~~ktora~~  
 z gdu odruca. ~~Wszak~~ ~~przedsiębiorcy~~ ~~rynek~~ ~~swój~~  
~~wiekszy~~ ~~osiagnaj~~ <sup>tylko</sup> ~~mogę~~ ~~dotajac~~ ~~si~~ ~~robotnikow~~  
 wiecej ~~wytworow~~ ~~prau~~ ~~nizi~~ ~~za~~ ~~nie~~ ~~zapbacili~~  
~~si~~ ~~od~~ ~~obrobcow~~ <sup>zai</sup> ~~swych~~ ~~ktura~~ ~~do~~ ~~zakupu~~, ~~zrekajac~~  
 sig na ~~zrec~~ ~~ich~~ ~~zaspomog~~ ~~opusta~~ ~~semu~~ ~~pewnie~~  
~~czepi~~ ~~niezapbaceniej~~ ~~prau~~. ~~Przedsiębiorcy~~ ~~dotar~~  
~~czyli~~ ~~robotnikom~~ ~~nieodpornym~~ ~~rodkiem~~ <sup>prau</sup> ~~prau~~.  
~~dotajac~~ ~~pod~~ ~~tych~~ ~~tylko~~ ~~warunkiem~~, ~~ze~~ ~~oni~~ ~~znow~~  
~~przynajmniej~~ ~~ktora~~ ~~przedsiębiorców~~ ~~zapracujac~~  
~~z~~ ~~dotychczas~~ ~~dotychczas~~ ~~zapracujac~~ ~~stosownie~~  
~~utrzymanie~~ ~~sami~~ ~~zadawalaja~~ ~~sig~~ ~~znaczenie~~  
~~nizka~~ ~~stopa~~ ~~zyciowa~~. ~~Sprawiedliwe~~ ~~wyrna~~  
~~zenie~~ ~~ratem~~ ~~wartosci~~ ~~trawicowej~~ ~~i~~ ~~dotychczas~~  
~~uzgod~~ ~~między~~ ~~nimi~~ ~~jest~~ ~~z~~ ~~wspol~~ ~~nieuczliwa~~.  
~~nieotagalna~~. ~~Trefusis~~ ~~by~~ ~~ostatecznie~~ ~~zmarzony~~

"L.P."

54  
9.

jak w wierszu, jak na obrzeczku

awsej  
nie  
771

Tak rymuję się wierzby  
i bezchmury błękit  
z srebrnośruskiej i rybiej  
głuchoniemą rzeką

rzeka niebo tak mrozi  
wartko, niestannie,  
słońcem żółki tak pachną,  
wiatr wysypia się w sianie —

Żółki słońcem pachnące,  
sianem świeżo skoroznym,  
pędem biegnę ku rzece  
drzewom w chciwe ramiona

rzeka błękit unosząc  
tak ucieka pośpiesznie  
żółki drzewom tak szepczą,  
nie odchodźcie nas jeziora ---

g. Stefan Żel

183<sup>2</sup>

182<sup>55</sup>

Wiosna.

Rozleła się płotą powoobież.  
Kwociem rozbłysła na drzewach.  
Do życia porwała się - z młobież,  
i żyje - w słońcu i śpiewach.

nie  
Tł-

W pieśni nabrzmiałej potęgą.  
W słońcu nasiałem mojem.  
Wre wiosna czerwonoż pływając  
i gęciem  
strumień sztandary.

Płonie serce płomieniami,  
Grmi w rytmie kroków bijących -  
o bruk brukowany ciałami:  
Wiosna

w szeregu  
iłowca.

Stefan Żel.

w maju 1937.

Godło: „Supitka”

ewentualnie przyjęci,  
ale może nie

JM

5/9  
26.

## Łęczodysznie

O świecie w bezkolor głąboki, wyżej jesionów,

Czesząc ogonami prężne żyta, szybką drogą pszczoł

Łecą konie czarne.

Sypią się śpiewne gwiazdy woda i przez dno,

Mijając strunne topole, zórawiane workocze

Łecą w górne wioliny.

W jeziorach niewieście wtosy,

W piasku czerwone ryby.

Dzikie werbeny, zamorzte klarnety miast.

W lipach kościelne szyby,

Raz w mrok, raz w świat

Mrugają białym wtosieniem

W skrzypce, w dziewczęce głosy.

Sunie chmuryste kilimandzaro, strzela gromową teczą,

Zatapia rzezuchę, drzewa, płynie len rudymi miedzami.

A w Łuicku w stawnym misti kapela ikraje.

Motodaja bondariwna w Korczomci hulaje.

Z rzek dawno sptynęta krew, podniosła się bujna trawa  
Czezna kopyta na drogach, stoi wojsko nieme.

Do kogo tyle ptaków zleciało o czerwonym świcie?

Dla kogo potysk szyn,

Bezdańskie pistolety?

Piłsudski ktadzie farbę na gruszkowe czcionki,

J pisze manifest do robotnika.

Zara udaryw pan starosta mimo jej ucha,

Zara stata robotnicia i nima iktucha.

Oj upata robotnicia btyżko peretazu,

Zabyw, zabyw pan starosta, z rucznyci widrazu.

J znouu, o świcie w bezkolor gęboki, wyżej telefonów,

Czesząc ogonami prężne żyta, szybką drogą pszczoł,

Lecą konie czarne.

Tam i tam wiklinne patyki

W lutne noce z kredą K.M.B., pyta sen drzemoty

Gdzie pojedziemy na zaloty?

J. Nowy

nie TH -

89.58

Do profesora orientalistyki

Schylony nad głębiami świętych ksiąg Rig - Wedy,  
Nie przecujesz tej słwili, profesorze, kiedy  
Nierpodziwanie, strasznie, w biały dzień, w południe,  
Szesćset milionów słp zadudni.

Mitraliery miarowym adpowiedzą stukciem.  
Lapachem kwi, wrzaskami popłynię nad brukiem  
w Delhi, Bombaju, Rangun i Masulipatan  
Rewolucja pariasów przeciw panom świata.

Tak zaczęnie się zmierzch Anglii. Ty zaś, profesorze,  
Przy teleaparacie głoś - w Londynie może? -  
Spokojnie sobie będziesz, jak przystoi snobom,  
Obszerować największe widowisko globu.

Godto: Nowy

Stabe WZ

miasteczko podczas odpustu

116

groto: 54

parzywie nataszkie budo kołowo  
budy stragany nosy nędra czczość i męda  
kosiółek przy plebanji dziewczka doi krowę  
księżyno w rączkach brewjarsz kark wotu obłuda

(# Mar-mara)  
(2)

kielbasa biały chlebuś knajpa karuzela  
harmonja skrzypce walezyk polka monopolka  
mek ile dris radosci wesela wesela  
przepadł ojciec antolki i ptasz antolka

nie ptasz meta antolko odnajdzie sie tatuś  
ty nie wiesz a on cały rok na ten dzień czekał  
pijany nieprzytomnie każdemu jak bratu  
opowie dris swój straszny dziwny los człowieka

do odpustu  
ewentualnie  
co o tym jest  
Tajem

Metamorfoza.  
(dialog)

- Kleją się ściertki z horyzontem.  
W locie ptaków jest coś, co damaga się piesni.  
W gwaduo widnokręgu ukryto się stajce.  
Jeden sen

przez wieki

się nie sni.

- Na początku było studzenie;  
nie chciało się w nocz iwiecie księżycowi,  
Włakt siebie pole cieniem

Melancholji

nim w ~~to~~ Kolji

Rozy ranej światła nie ukopit.

Jenere nikt wodka, nie modlit się ratuce.

Sobies znalernio kartke z kalendara

I pod napisem: Soudaieni

Stowa:

\* Lato i dobry batakaję się lubrie

I wiecha w wspomnienie wiec...

- Dais siedrin przy mnie i zmeceany starce  
W dawnej się bajce mikerem lubryer.

Snuje

obrok ze mną kedaiony wspomnienia

I nie wiem, a toby czy ter z wrokiem gwarsy.

- Na początku było studzenie...

1

2

mic

PJ-



61

- Starce, dość! Dais z twojej basni  
Czas nam niei grać na sukno!  
Dais nam trzeba w grzeczności jasniej  
Ciszej echo, zanim zgruchnie,  
Jęki w stal nie przetykane ...  
Starce, dość! Tam stajce wschodni;  
Dais nam stajce wstrzymać trzeba  
Zanim urok potoków nieba  
Nie ogarnie na zachodzie!

2

Półki prochy zapłone, pod lantem,  
Półki w kamieniu  
Nie zamienit się granit,  
Kamień  
Sen sere na życie gorące ...

Leer spojra:  
Mleja, nie ściertki z horzontem.  
W locie ptaków jest coś, co domaga się pieśni.  
W purdros widuskiego ukryto się stajce.  
Jeden sen  
przez wieki

się nie sni...

Godto: "chaya"

nie pt-

2

6232

Atlantysa

Godło "Mare"

Niecodziennie serca przyciszysz xantku dioniami  
(oto obwornienie piątnia : by było pusto).

Tola, skieweruny. Białe ściżki odnoszą drbany -  
Putoj - xrałb wiecxomu i soxystość ust.

~  
Jakie dobre xasypiaś w koranie prawicków,  
gdy utokre melodie płyną włosami świata -  
Dreco królowa Rea ma przesmutne oczy -  
extowietku!

tylę lat, lata, lata...

Kokkon raxy sto chyba już się odmienit,  
xuwanie astronomów rośnie w kamienne pstrągi,  
a sūy jak taki cutrowe się pienięż:  
królowo - stonica - posagom!

Z niedomknięcia oczu są tylko kolumnady  
xasuszeńie kaptanów, mistyczne gryfy -

powiaśaj:

kiedzi naolejdzie ten przypływ,  
tłuc będzie w bramy?

W serce nachyla się, ximy którejs tam smutek,  
 a, ołowick nie inny - ten sam.  
 Skamieniały zamki w radu tyerun golyk, -  
 nie czekaj na dżwoniem sari

Odechodisz? - prawda, że nie? -  
 patrz na palce brzozy, co wstrzymują rękę -  
 (może dlatego wstają te wyspy samotne,  
 skąd do ptaszkich uśmiechów powroty dalekie...)

Nie nadpływają tu sime scharanui wozy -  
 codziennie skrypi nijaki bagaż -  
 Porwóbcie schamieci, zrudzieci scharzei,  
 na głazy spoglądaj - gład.

Czy nie szerzy oddech? - obroz dusi skronie.  
 Bóg nos butem prasuje na nie -  
 byle tylko to serce wyklusnąć za granicę,  
 w zgęstwieonym niebie jak ryba utonąć.

Niechaj nasuną się xomarte, kotujące puszore  
 na kikuty obłych pni  
 Chcemy rosi - listawiem, konarami, duszą  
 Boga podleporzei - wygonić.

G. "Luk"

Ciepłiwie kamienie.

58

64

nie  
→

Ciepłiwie są kamienie podni i chodników,  
poukładane twarde pod koba i stopy —  
jescz tylko: żaden z nich nie wyda kryku,  
nie zbuntuje się przeciw rozsydzeniu kopyt.

A pewni przyjdzie sinsto robotników:  
wypskną się ulice deptanym sumieniem,  
na paragrafy w rozwinętych sukach  
polecą miświe i wolne kamienie!

Przyjdzie wiosna, wiosna niemych kamieni;  
porstaną z martwych i wyjdą na planty —  
i ze wstydu się niebo całe zaserrwieni,  
gdy wate kamienie będą tuż brylanty!

Ucie tak jak krywda buntu nie roznieca,  
lecz driniaj pewne trzeba cierpieć skrycie:  
dris' pewne na waznych przygarbionych plecach  
berwstydnie galopuje stukopytne życie...

MiejsceChrystus178  
65

jak doko gwiazd rozkwitło nad niebem tęg zielonych  
wierzbonych kotyścauk w lusterko zapatrzonych  
jak doko snów uciekło przybyło lat wieczności  
skiniemiew jedynym: stani się - prostym ruceniem kości

II

polami śnieg wzdrował niósł gwiazdy na ramionach  
promadził śpiew kolendny wrodzony w srebrnych dzwonach  
polami śnieg wzdrował - chryzantem początki...  
jak trudno jest zastygnać w kapturce białym tukiem  
na wiehrrze granatowym szepanym w źródle mroku  
nie zatrzeć w sobie ciszy nie zachwiać bieli kroków  
o pauno nasza cicha mybrania ponad światem  
daj serca swego radość najczystszy - jak opłatek

III

odgarnij smutny bracie nysitkiem starych ramion  
rozgwiazdy srebrnobrewce co w moście cieniu pławią  
rozetnij ręk swych spadłem murawę przyciszoną  
i wyrwij z korzeniami rozpacz bolesno - stonę  
do pietych otłowi nabierz błyskołek które smucę  
wodejście niech zastygną niech nigdy nie porócę  
dziś dzień jest weselności - śpiewajcie kolendnicy  
hej - pasterze pasterze - Chrystus stał w ulicy

IV

do oczu Twoich dzieciemych mroźcych lilie białe  
spłynęły pola miasta świątynie skamieniałe  
upartyms dźwięk na wietrze rozpięchły sny choinek  
pogasty światła trudne zatrzymać czas gościnny  
do oczu Twoich dzieciemych przez bruku twarde echo  
strzał wstrząsnął kantonadę pool stonica jasną wiechą  
pod stonica pióropuszem huryski biodra niosty  
wzbranie zapomniem spzokniatę grzechem ktoś  
siedmiozgrzydny płomieni na falach quie się światła  
wypełnia z czerwni wżiem potrodku skwaru lata

V

krew jesiennie nie zakropła - czerwona huraganowa  
spaliła most nad wodę toczącą ciężką pianą:  
z suchotnic łon wydarte zielone ziemio - zwały  
kółkę bunt czerwony w serce suterenach chorych

ulicę idzie smutek w niektych stopach zmieni  
przypomnieć nieświe w sercu o mityńskim sens kamieniu 66

o Chryste Panie - przebac - do arki ocalenia  
wprowadzi bezradne stado Panie naszego cierpienia

VI

pod ciszą abażurem seledyn w mroku kręgi  
samotny na ugorach nieświe pau i księżyc

podgłaska sprawy ludzkie ukryte za rzesz strzechy  
pijany wesołością zadławił się wómicchem

udzielił pau i księżyc haremny gwiazd kotyśce  
na morza nieświej niewypowiedzonej kliszy

i nikt i nic nie wola nie cofa się noc orasów  
zatrzymał ktoś gościnę pod ręką gęstego lasu

VII

Chryste - przypomnij słowa o mityńskim sens kamieniu  
spraw - żebyś pierś zatrutą miłości dniem odwrócił

VIII

jak dwoje gwiazd rozkwitło nad niebem łęk zielonych  
wierzbowych kotyśce w lustro zapatrzone

jak dwoje snów niekto przybyło lat nieświej  
skiniem jednym - staj się - prostym rzuceniem kości

kobiety miosę wino podają pełne dzbanu  
na łękach kolorowych rapachem róż ustarych

objrzałe szerzycieiu drewna na grzbiotów łękach przynych  
w przypięwie tracky dobro odwigają ponad krzyżyc

zynieć malowany odbiera wartość snów  
zynieć malowany nasz wspólny wszystkich dom

firanki w mlecznych młotach i żarówek opadają  
zawisty w oczach pełnię is znikły drogę roztaje

IX

dziewięćma kwiąg musyje przed matką smę w ukryciu  
- niuuta etud jak komar przy lampie brzędy zycia

X

człowieku - znam myśl twoją - na twardej trampolinie  
ustawiasz stopy zwarte - wysmukłe kolumny linie

ramiona wolno wznosisz bezwładem wahań wazysz  
aż pęknie błona wiatru napięta skurczem twarzy

plusk cionności w huk roztania granatem wściekłych pięści  
z fontanny lung krople karabinowym szerzycieiu

a niebny kosiarz jasny podbierał będzie ktoś  
rankiem wróconym w echu kolendę śpiewanej rosy

człowieku - jestem z tobą - nad drogę się spotkamy  
gdy będę poraż drugi miłością krzyżowany.

G. Gild

Złota pieśń.

177. 67

Skąd to? skąd to - zalew złota -  
W moją ciemną pada chatę  
Jasne, sypkie i bogate  
Stojce - nici wkleby miota,  
Co to przedką linią pajęcą  
Grają barwną, zlewną tęczą  
Imigocą, blaski tęczą,  
Plotą, wiązą pieśń uroczą -  
Złota pieśń!

A  
nie = nie  
88 -

Coś się snuje, rozsypuje  
W rozpalone gwiazd miriady,  
W jasnobarbne kwietne sady,  
W sady pyszne, a zaciszne,  
Gdzie się oko traci, - tonie  
I gdzie blaski, sznurzy, wonie  
W jeden ton się wiąza złoty,  
W sen czarowny, a marzeń sploty -  
W wiosny pieśń!

Serce budzi się z martwoży  
I wstuchane w akord złoty  
Bić przestaje... Ponad kraje  
Myśl skrzydlata w dal ulata  
I tęczową pierś swą poi  
I zagika wśród ukoi,  
Śród przestrzeni się zatraca,  
Jako stojce się wyxtaca -  
snuje pieśń!

Poprzedz srebro złotych  
 W moją ciemną chatę pada,  
 U stóp moich skarby składa,  
 Składa skarby i klejnoty;  
 Z serca strąca pieśń o chwale,  
 Co w przestworza - leci hoźa  
 Ponad lasy i bezdroża,  
 W sinegłębie, - w modre dale, -  
 Złota pieśń!

2

9 „GILD”



Ballada o matce.

Na wargi ci stoisz w dłoni cież niecora  
i seczyty drzew ptona /  
dom otoczą drzewa  
jak ryse w zielonych hetmach  
i sergkiem ramion brzozy w wydowaniu potuoc  
~~myśli~~  
i u nóg uśniętym ocean w siodełku fotela  
opowień bajkę przez ciebie opowiadaną.

W 969

nie  
Pl-2

Cichutko będzie u domu lampki małej malwa  
nie przestani niecora; nie wytryśnie dniem  
wtedy powiem ci tajemnicę, tkwiącą jak kamień u muralsi  
co lata zmieniły w cenny koral:  
se młodość jest niekora od sera: Ma niej nie ma sekronu  
w pół szerokiech głosach a w sieciach dui  
trępoce się jak ptak w słońcach.  
to będzie twój sen ciężej niż sergicie syna  
co s'item nagarwał do seru ciałe garscie stota

Rano obudzonym wstokiem  
uczaję się myblakto fotografis uad Tózkieno.

Ballada pogańska. N.

Wśródtem do świątyni. Kolorowe na oknach pschere  
Przestronity kamienne trane u mistycznym cień.  
Thysatem jak bursetym ptona w Todkach kadzielnie  
jak w lipach spiewem ptaków radował się dzień.  
wtedy korawid jasnych dzień  
Przesunął cicho przed crotem Staras.

Chłod wiat świątynię. Czerwone wężyki w Todkach  
raz po raz pierś wenerity.  
Pachwały siota, a u suficie strono bledily

w spiralach dymy. Świeżej sadzi wizerat krótko  
i umilkł jak bezwasa struna.

70

Ja miękka kotara  
Chór kapitanów szemrał dźwięc.

Nagle pierś spłynęła jak wajgorzasty kiel  
I mroźnych tręb oszalały pogwar  
Popłynął spieniona, i gwałtowna, struga.

Głosy się plotły, wracały od mety  
Rozdrabniały w płatki, wierzaly w bakiety.  
Przewychały jak gromy i rosty, jak bót  
To żuńw dźwięcały. Miedzi i strun chór.

Zwętniły się dymy z dadeisłuc.  
Plomienie cakniły, jasyły się wstraić  
Ariata świątyni u góry.

Powoli gasły kapitańskie, ekstatyczne twarze.

1937r.

Rose na bruku

Srećno, što je moje, jedno ljepo ime  
 Na početku, znamo sve, mnogo smo  
 Srećni ljudi, a ponekad, jedini, koji smo  
 morali biti, znamo  
 Kako, što, gdje, kako  
 Kad god, znamo, to je, kad god, znamo  
 Da, znamo, gdje, gdje, to je, kad god, znamo  
 Srećni smo. Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo

2

Rose na bruku

|cykl|

Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Na početku, znamo sve, mnogo smo  
 Srećni ljudi, a ponekad, jedini, koji smo  
 morali biti, znamo  
 Kako, što, gdje, kako  
 Kad god, znamo, to je, kad god, znamo  
 Da, znamo, gdje, gdje, to je, kad god, znamo  
 Srećni smo. Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo

me H -

Na boji, znamo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo  
 Srećni smo, samo, samo, samo, samo

Róże na bruku. A.

2 82

Syren ostre powieki gradem leżą w niebo  
na topolach kominów rozciągłone dymy.  
Idziemy eisi, w piersiach pełnych hukem marnym  
nieśmiemy trud kamierny.  
Wieżor sieje gniazdy wysokie.  
Latawie tańczą w katusiach światel.  
Ża miastem gwałdzią powiązi na stalowych rymsach.  
Idziemy eisi, stracone żarem nogi ciężko padają na bruk,  
Błęskają strachy, dewoni gong Księżyc  
Warczy niebo w śmigłach samolotów  
Huta pancerna w potokach światel  
kierą żołnierzy na front.  
Idziemy nocą. Ramion zwiastate łodygi  
Na barkach ciężki blaz czarne jak krepy  
Płoną sosnom nogi na niduokrągach  
Z traskiem konary drzew wrozić śmierci.  
Nie boli serca łomot. Dzień za dniem jak liście  
krywę, spada z masetu niebo  
Środkiem równy potok rytmu.  
Na czarnych hełmach tańcy śmieć  
Wymukły wiodzieńcie na koniu  
Kamień stracone stada na dachach  
ciężkie rubienie.  
Nie boli bezwład ramion nam cięższym od śmierci.  
Białe karetki ranionami krzyżem  
Zgasniają róże czerwone z bruku.  
Dewoni północ wpiorna. Płonie niebo  
tun ciężkich pożoga jak potworua rana  
I dzwony. To siny w katedrze kościelny  
Oślepy od dymów sen zgasnia z powiek.  
Traskają żerńce błyskiem pnieiste wazjót

Trzesnęły kryje w białych sutannach

~~Cyż~~ <sup>Cyż</sup> który gładzi białe piach...

Cyż uita wołają, cyżi oocy reklame

Tknie jak orzechy w kłonach rokitniczych.

Ideśmy po asfalcie pod siwym parkanem

Droga śnieg liście wędle jesiennie

Traki gromadzi wreszcie dudniąc ciężkie koła

Po wypułkach ulicach. Wyją psy. Wiatr sewni.

Gdzie pola co nam spłynę do ust

Jak potoki i setca

Co synów jame ocy czoła nam na pierwi?

Cearną i zwartą gromadę

syren pobudka zarota nas znów.

Kolyska sosnowa.

10.

Cicho przestoi bliskim napływem

Noe syby poiste brzdami jak twane

Do ust miszkich brzozy pęk

wrózsz gestem najczulszym.

A kiedy dni się stoerą wlepisie

jak owoc dojrały

Najdalszy szum drzew przypomni

Piosenkę wypiwaną sosnowej kolysce

I wtedy huk ~~armat~~ <sup>młotów</sup> rzeźbionych w stali

Luf armatnich nysmukle studnie

Spłosey myśli jak stado białych gółbi.

Kolyskę sosnową ukolyszę brzozy.

jeszcze w gąszczach trzepoczą się ciemię  
 jak ptaki łzkiem skrzydłone w piersiach skrzygłych  
 już ognisko partuszych gromada  
 czerwieni, krew rozlewa się wem wiatru  
 w noc.

Purpurowe noce  
 twardą z wilgotnego ciała  
 biskitne łuski; krew spływa  
 po brzegach.

A w brzoach śpiewa noc: uskrzydłonymi dobiegiem  
 tańczy w sennym dębów podniebnie żęglugą.

Skiebo okryte i ciemne  
 na filarach topol ciężar ukrytych gwiazd  
 zamieszka.

W szapach materskank przyodziać w górach  
 nogi kłębią w najczerniejszych taruinach  
 w dolinie.

Ostatni pokrętek ptaka stonaj w dolinie  
 jak myśl samkuista niekiedy trumny  
 jak oczy rozszerzone na ścianie świątyni  
 we wnętrzu organów

aż czerwone i opuchte powieki  
 ciężko opadną na ścieżce  
 jak skrzydła cmy  
 opalone blaskiem śniecy.

Rwą <sup>peta</sup> ~~hijta~~ karę kowie i w grywach blaski  
 niosą do rzeki

Skurwią senwary usta gotowe do kryku  
 żywicą zasklepią bów  
 falą płynącą po twarzy  
 a w ciszy ród wiosta uderzają  
 jak w serce drzewu

(głos:  
 "Człowiek")

coś tu jest  
 ale nie wiem  
 (złoty)

BT-

Oto lip szalonych korowców  
jak płacski wtulone w płacht ciemne treny  
linyżone głowy wspięnijsze w szrank  
a dąb do kolana wsgórz kłoni  
seum.

5 45

A w dolin zielonych kolebkach  
jak dziecko usmiechnięta spierwieś.

Myśli d.

Piotrowi D.

Zmieszony atykiemem dróg podkorowych  
jak kotnik w brzoje drzew gromadnych  
kładz myśli proste jak ciemne wieciorne  
wstuchany w septy traw, beczadny.

Je myśli gólski całują cyel się trefot  
na dachu w stoncu : zapachu lata  
— to znów riek szalonych orniis ~~ta~~ krepow.  
wieciot w lata

i gubi gniard ogony nad siwą doliną  
i wiąże myśli w biegnące meteony.

Cienie w senwarach i łodeis pełne ciemni pływ  
niosta bryegaję w ogniu pastuskiej koloryt  
kwitnocy w rodecie.

Oddech wody ciężki jak suop ebois  
po pracy piornawów w ciepłym plusku.  
Wszysie płonie, złowrózbuu pożar  
rosny szesytami niosą i iskrę gascieiami  
stopionej miedzi w zagrody,

Kładz się myśli czerwone na ciemni.

Swiercé ojca. R

6

76

Niebo żagiel miłobicki ma na setach sosen  
rozpina wysoko

Astronowie odchylam fastuch zielonych brzoł  
i wargi opuchłe przytulam do białych  
kolan.

Sole ścieka jak z piersi wonny i ciepły  
jak deszcz.

Wiatr wiony widny w seumie wysokim  
i w osy białych wisien Bryzgo  
margesem kaczeców

Wiosna białego sadu

i osu przekwitłych, co w blaskituiszej noocy  
wyrwały ogce kreyza ociekającego sakiem.

Plakaly drony na długość eichej wsi.

O piersi wklęte uderkał słocho  
ipo trawy matki spływały przedrocyste  
krople w rzezi smarerek

Za oknem tłum skupionych przyjaciot  
niost ojcu usmiech opracowany  
i ostatniq przyjaźni.

W motywie brzoł seumnych zamienatem  
wery jak sklanc pociorki

Wad tłumem eratue ptaki rotopotaly skrydla  
i icho skrypiqee wrota otwieraly ramiona

w chłód ementarych garbów

Obwisło niebo jak baldachim

wiesiony na ramionach smirzonych  
topól

i cienie jak motyle ciemne wylatywały  
z klatek liściastych drow



Do wsi zielony szum liś  
wydłużał drogę o stracone  
imię.


77  
7

II.

Ballada o kwiatach.

W pierśi mej kwitną kwiaty jarne i miedunane  
a pierś grubym pauczym skuta  
Czyż jak bujno strzelają pski dobre mi smaug uszkę  
siatkę korzeni cienkich jak włos wązki serce  
i rosę karmione krwią,  
i rosną karmione krwią,  
i rosną karmione krwią, dynamierzą silię.

Przyjdzie chwila i stalowa zbroja na pierśi  
jak łusina pskie i kwiatów wodotrysk ~~nie~~ <sup>szalony</sup>  
wybuchnie w gleby tłustej i rodnej  
i powiązają się kwiaty w wianuski: wienice  
opaszą strzechę syczącymi porojem  
zakwitną Tuż w schodu w sknie  
i nam podane fortanę jak wiersze.

Mój nauczyciel.  me kwiatach.  
Mój nauczyciel mieszka w domu czerwonym  
Na okno świat zapuszcza zielone rolety  
W ogródku jak łódce pływają bratki.  
I razi główki skrawanione.

Przechodzię ersto tedy, gdy miasta pomura fala  
Mi dobiega przytępnem do burty wąskiej uliczki  
Płonie lampa smichrony uład książek  
Głosnik na ścianie jak książka  
W cieniu kochana głowa, skronie już białe.

Stoję cichy. Tu pokój gdzie poeja gości  
Jak emzeżeni anieli pod strzechę.  
Gward wzdronych nade mną poeig  
I platynowych migotai niedostęga echa.

Joczątek wiosny.

Napływa do oczu zachód  
drzewa płoną i spokój nieba faluje  
eichnie w brzoach

Nie ukryje nikomu zachodu sery  
poruszone cieniami rzes  
nieścis nad głową w turbanaach mgieł  
niegłuję łęki  
jak do utny włókone serec w pierści  
trępoce się i dródko krwi  
bije w skroniach

Wciąż w rze różę z przed okna  
varem jak dożgonni towarzysze  
szkalicie słone na horyzoncie  
w nużce wędrowce wiatrak parawanami  
rozczepił pierś różę i płatki selererere  
jak krople krwi skrzypięj cześć na ziemie

Raukiem nagie biodra ruki  
puch trzeim miśko kotyraly  
cienie ryb na ślotym piasku  
goniły cienie a w gruzach dźborych rumów  
po noccy groźnej płakoty lidzie  
opadały karty dni i żółtki w dłoniach  
Wachylalēs do oczu : wkleśle  
egrety niatrów kosmicznych bryzgały  
pytem prochu dawno wymianych z mogli

Nocą selest sukni budził  
i przy świetle księżycowej głoni  
wierne wydłużały się jak sęty.

g. Destruktywny element

N o c

rozejmie się  
TH

12 29

Wiatr - powłóczysty tenor nie umiał arii dośpiewać -  
na niebo milczące granatem spadły pocałunki gwiazd -  
marzły tęskniąc za szczęściem ponure-bezlistne drzewa,  
marzły tęskniąc za słońcem wysmakłe ulice miast.

Śnieg leżał na trotuarach srebrny jak naftalina -  
bezwinnie konserwował znużone futra ulic -  
domy płakały czernią niepospolicie niewinną -  
na lśniącej łące mrok ścinał samotny sierp - somnambulik.

Przy oknie meim usiadła poczciwa, wiotka Euterpe -  
wionęła na szyby szare i na mnie ciepłym oddechem  
i zdało się, że jasność fontanną smutek rezerwie,  
że gorycz się rozplynie w złotopachnym śmiechu.

Lecz szyby uparcie płonęły południowymi palmami  
a muza zgasła cichutko szarą żalnością złamana -  
zasypiał wiatr - przemęczony modlitwą siwy brahmanin  
i tylko na drzewie zawisł żółtawy księżyc jak banan.

godko: "destruktywny element"

Fredy Jura  
Włodzisław -  
i wredniak melotron

Godło: 9972

1/1/1  
# 73

I śnisz purpurą wieków...

Motto: Lwowie: my ciebie kornie pozdza-  
wiamy...  
/ Roxolania/

Miasto podemną śpi. Drży obrzask świtu,  
Srebrna kurzawa mgieł zaczyna złociec.  
Czy miasto z ziemi rośnie, czy z błękitu?  
Stoi, czy płynie w Polskę? — Trudno dociec.

Jeszcze nie zleciał z wież Ś-go Jura  
Srebrzysty gołąb dzwonu na prymarię; -  
Można oczami pić rosę na murach,  
Można uszami chłonać świtu arie.

Pianą wiosennych bzów, kwitnących znowu,  
Kocham cię, Lwowie. Tyś mówił mi o tem,  
Że można pragnąć gwiazdnego połowu,  
Duszę bogacić słońca ~~sy~~pkim złotem.

2

Na Lyczakowskim cmentarzu gdym marzył,  
Twarz smutną skrywszy do rąk drżących obu,  
Tom widział wieczność, co się dzieciom darzy,  
Wieczność, sadzoną grządkami ich grobów!

Wszędzie w Ojczyźnie zalega Ojczyzna,  
Lecz tu z dziecięcych dusz stoi opłatkami...  
I żaden anioł dziejów się nie wyzna:-  
W Sparcie, czy tutaj były większe matki?!

3

O, Matki Lwiego Grodu! - Serca rubin  
Podniesie Polska przed tron Przedwiecznego,  
Bo tu się człowiek łańcuchowy gubił  
I wrastał w Wolność, aż wyrastał w niebo!

Gdzie są na świecie takie dzieci drugie,  
I gdzie są takie na świecie mogiły,  
Co by szeptały w noc, płaczem długie,  
Że nie umarłe już są, bo ożyły?!

4

A dzisiaj?- Miasto ciche! - ciagniesz soki  
 Z ziemi, co tobie życiem się odśmiecha.  
 Na niebie kwitną srebrzyste obłoki,  
 Na ziemi kwitnie obłokiem czerecha.

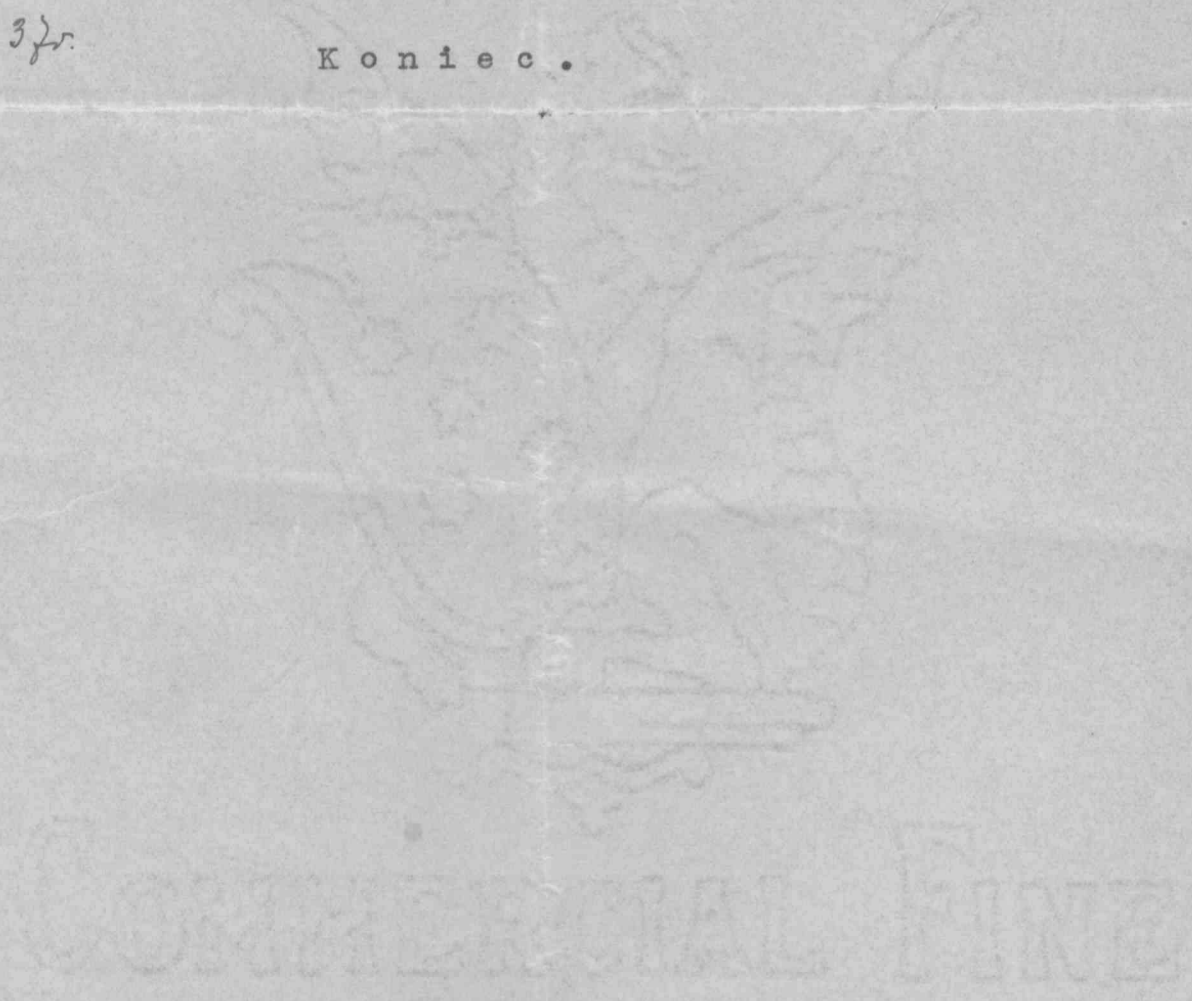
I śniesz purpurą wieków , snem Boimów,  
 Oddane szarych zdarzeń poniwierce...  
 O, marzycieli miasto i olbrzymów!-  
 Masz nieśmiertelność, bo masz lwowskie serce!

To serce śpiewne, jak mury Długosza,  
 Przez które kipi zieleń wiosną żyzną,-  
 Palona słońcem szmaragdowa brosza,  
 Którą przypięła do piersi Ojczyzna.

Lwowie!- gdy już mi słowa nie wystarcza,  
 Żeby ci miłość moją w zieleń wdrzewić,  
 Wtedy... całuję twoje lwy na tarczach  
 I łzy połykam... A dlaczego ? - nie wiem...

29 Maja 1937r.

K o n i e c .



G. Werdykt Omylony.

P o g r z e b .

1

163<sup>82</sup>

nie  
tak

Kroki tłuką bruk, ciężkie i powolne kroki,  
kroki szybkie i ciche - jak kocie podskoki,  
kroki twarde i miękkie, bliskie i dalekie,  
kroki, które się ciągną z oddali przez wieki.  
Buty - żołnierskie twarde nabite gwoździemi,  
buty podarte, buty pełne dziur jak many  
otwarte - dziury - palce - ich uśmiech złowrogi,  
uśmiech palców, co kończą zawsze czyjeś nogi.  
Nogi - kroki - tak<sup>t</sup> biją nogi muskularne,  
nogi cienkie - krzywica - wszystkie w marszu karnym,  
opuchłe grube nogi, w reumatycznych bólach,  
- na plac, przed magistraty - w cienkie ścieki ulic  
przez bruki asfaltowe i wyrwy brukowca.  
Nogi, buty, marsz, kroki, masa w pędzie owczym.  
Tłum rośnie, potężnieje rozpiera kamienie  
żelbety, mury, cegły - koryta strumieni,  
tętnią buty i nogi, kroki tłumią kroki  
w łoskot stały ponury - jak parowe <sup>tł</sup>oki.  
Twarze martwe i żywe - zmrożone powagą,  
ciche, dzikie, ponure - bojaźnią, odwagą,  
groźne twarze milczące - zaciśnięte wargi -  
z czasem, przestrzenią, śmiercią - to milczące targi.  
Oczy siwe i piwne, czarne i zielone  
niebieskie albo bure w masie tłumu toną  
i giną pojedynczo ale są i żyją

. / .

i trwają, myślą miłością - oczy w życiu czyjem.  
Wiosna zielona - łąki, zielone są pola,  
zielone życie w świecie i wieś Pańska Wola ,  
zielone drogi kurzem zielonym pokryte,  
lasy zielone, chmury i żołądki syte,  
zielone jak hutnicze piece płonie słońce,  
zielony świat jest cały, wszystkie jego końce;  
i pokrzywa zielona, trawa - zielsko rośnie.  
W tłumie sosen zielonych dobrze rosnąć sośnie,  
Trumny sosnowe - czarno malowane domy.  
Świat was zobaczył dzisiaj, świat wam nieznajomy.  
Trumny czarne sosnowe, tłum prowadzcie , ludzi  
na cmentarz i za cmentarz; trudne życie trudzić.  
Przewodźcie jak sztandary - z nienawiści rodem  
miłość głoście płomienną - ludzkiej walki ody,  
hymny. Wy czarne trumny - w zbrataniu jedynym  
nogi, buty i twarze , i ręce , i czyny .  
Niech słowa niemilknące, jak salwy wystrzałów  
- twarde brukowce, słowa, co nie wytrzymały  
w masie bruku -niech lecą, niech uderzą w trumny,  
niech przemówią i wstrząsną , jak sumieniem - tłumem.  
Lub może niech milczeniem, milczeniem rozbrzmieją  
- czynem, walką i walką - jedyną nadzieją . -

Elizjum.

W mieście dziwnym zwanym Elizjum  
 Wszystko jest inne, wszystko jest wizją.  
 Tam nawet cisza jest pełna drzeń,  
 Popatrz, cieniowi kłania się cień.  
 Słońcem, gwiazdami w oknach lśnią szyby  
 Okien nie widać w domach na niby.  
 Tak je kunsztownie wznieść tylko mógł  
 Żaden architekt lub Każdy Bóg  
 Twarzy się twarze pytają blade  
 Żaden czy Każdy, Każdy czy Żaden.  
 Ktoś w tantym oknie krzyknął i znikł  
 Szepnął mistycznie Nikomu Nikt.  
 Bo Nikt się włóczy z domu do domu  
 Poczł wiadomo tylko Nikomu.  
 Żadnemu niesie uśmiech i kzę  
 A Każdy woła Nie Chcę i Chcę"  
 A gdy zły Nie Chcę zmienić kzę w różę  
 To Chcę najlepszy uśmiech bżem urzekł.  
 I kzy im pachną i pachnie bez  
 Czy bzu jest więcej, czy więcej kżez?  
 Nikt pośród kwiatów wędruje z Nikim  
 Tak im prześlicznie nuca słowiki  
 I tak jest dobrze nie być, a śnić  
 Jeśli chcą czegoś to chyba nie  
 I co krok inne znajdują szczęście  
 Ale swe szczęście tracą najczęściej.  
 Mocno, najmocniej zaciśnij pięść  
 Byś więcej własnych nie tracił szczęść.  
 Z zamkniętą dłońią idę przez miasto  
 Z myślą o tobie - z Boluksem Kastor  
 I czy Znów nigdzie, czy wszędzie Znów  
 Znów mi nie wydrze radosnych snów.  
 Bo od imienia twego, Elizo nazwane miasto z grecka E  
 Nazwano miasto z grecka Elizjum.

z 115  
 84  
 gadło: "Wczoraj"

nie - być de  
 JH -

gadło: "Wczoraj"

1 ps  
 113  
 1 ps  
 114  
 1 ps



g.: W. Z. 13."

42.  
85

R I M B A U D .

Statek w wiązaniach trzeszczy -  
morka wskoczyła w żagle --  
nie nie pomoże wrzeszczeć:  
pragnę!!!

*Sobnie polne*  
84-

Niebo jest znagła ukośne,  
sine i czarne i krwawe -  
„W morze rękami wrosłem,  
włosami płynę wśród mgławic --”

Życie: fal tysiąc o grzbietach pienistych,  
wschód: kraj daleki, tajemny, bez lęku -  
pioruny łbami o skały rozprysły  
i pękły!

Pokład wyskoczył ku niebu,  
deskami skutemi żelazem -  
świat się na osi kolebie:  
pijany obrazek!

Pochlust zielonej wody --  
- słony jest haust tej fali!-  
Ocean stał się ogrodem,  
w którym szmaragdy się pala.

Okręt szoruje po wodzie:  
tęsknotą krzycząca kometa!  
- a morze wywiesza codzien  
zielony sztandar Mahometa.

„Serce jest we mnie chore,  
wiecznością je ciekłą pokropię,  
jestem pragnącym upiorem,  
spróchniałej Europy!

Miotany grzmotem fal pezepastnych,  
pędzący w chmury - w mokry dym,  
na maszcie zatknę serce własne -  
gorzkiego morza syn!”

Morze, tętniące życiem, pięściami walące o brzeg,  
to świat buchający potęgą - szukanie płynące naopak  
przez duszę poety, co zbiegł  
i upadł twarzą natchnioną w wód pulsujący sarkofag.

” ” ” ”

76 86

proszę mić - podziękować  
TAK -

G o d ł o: "Perypatetyk".

E d g a r A l l a n P o e.

Krew pulsowała w skroniach i tętno waliło mocniej.  
Oddech zamierał w piersiach i ciarki lały po grzbiecie,  
Kiedy przy świetle świeczki w bezmiernej czerni nocnej  
Niczego prócz Twojej książki i mnie nie było na świecie.  
,  
Światło pełzało po stronach oscylującym ruchem  
,  
Świecąc mi z czarnych literek przedziwnie utkaną historię...  
I pewien byłem, że zaraz - za pierwszym wiatru podmuchem  
Czerń się przede mną rozwieje w jaskrawą fantasmagorię,  
  
Ze pięciogroszowa świeczka w sklepiku na kredyt wzięta  
Pochodnią mi będzie w wyprawie w paryski zaułek rue Morgue,  
Albo, że będzie w jej świetle - mnie i mych druhów z okrętu  
Upajać piwskim siarczystem, Jego Dostojność Król Mor...  
  
Lecz świeczka gasła powoli i nikły półsenne widziadła.  
Siedziałem cicho nad książką z opartem na rękach czołem.  
Na ciemnych już teraz stronach tylko mi twarz Twoja bladeła  
Najprzenikliwszy z Poetów - Edgarze Allanie Poe!

Godło : "Kleska".

*muszę przeczytać na jej cześć*  
Tł-  
List jesienny .

157  
187

... i dokąd iść mi, aby nie powrócić.  
Gdzie ciebie zgubić. Jak bez ciebie zginąć.  
Komu żal zwierzyć. Komu ból wysmucić.  
Krystyno .

2

Scieżki mi ukaż, gościńce lub jezdnie  
tchnieniem warg twoich jeszcze nie zakłęte.  
Pokaż mi noce huczące bezgwiezdnie  
gdzie mógłbym rozpacz prześpiewać na smutek.

Wskaż mi wskazówki pędzące jak śmigła  
nie uwikłane śmiertelną godziną.  
I krew mi utocz jeszcze nie zastygłą.  
Krystyno.

Ból się rozpłakał w pokoju na piętrze.  
I rozpacz wali w umęczone piersi.  
Dudnią przeciągle pociągi udręczeń.  
I wszystkie drogi prowadzą ku śmierci.

Drżą wielkie słowa w zaciśniętych ustach.  
Szłocha za oknem wiatr w blaszanej rynnie.  
A z kątów patrzą przerażone lustra,  
szepcząc twe święte i przekłete imię.

A tu jak na złość jesień pachnie miodem  
i w chłodnym słońcu najdostojniej kona.  
Dziewczęta noszą jej śmierć i pogodę -  
Jak paść jesiennie, z uśmiechem, jak ona ?!

Jak myśl rozszarpać powrotną i trwożną.  
Jak się zatracić. Jak b e z ciebie zginąć  
dziewczyno, której już nigdy nie doznam.

Krystyno ! ...

Dzieje pogoni.

Kiedy ciało było jeszcze nieznaną plazmą  
a myśl mieszkała w odległych wirowiskach  
- na skraju cienia ty byłeś.

Jak to było - przypomnij -  
spód mgły, spód nocy nagłej  
na tamtą stronę dnia przepłyni.  
Słuchaj: to zgrzyt - to czas  
rozdzieram dawno skrzerły.

Wieczorem badasz sprawę dnia  
uwikłanego w młodość:  
wtedy spojrzania gasną wśród obłoków  
jak sny bez treści -  
trudno budować spokój barw grających zmierzchem.

Rozbita klisza pamięci. Twarze minione - we mgle.  
Mierzono świat oktawą końskich kopyt  
- szedł dźwięk tych trąb na wschód, na zachód, na północ.  
Na polach jeszcze niezwiezione snopy  
obrosły, rdzawe i brunatne, w błękit.

Wtedy wschodzi nienokój z niedonitych snów,  
drgający jak pajęczyna rozpięta na wietrze.  
O cichy łopot sów rozkołysana ciemność\*  
- a ty i burz i skrzydeł nie goń!  
Słowem uwiecznym w samotności wołam tchu  
ponrzech niebieskie oczy młodych bogów.

Spocśród stert napisanych banałów - przytomnie  
weź prawdę, ogarnij, przyjm w siebie:  
ziemia spód nóg ucieka kolorową arką -  
te plamy anarchicznie rozrzucone na tło  
dnia krwawiącego jak szczeka boksera -  
to jeźdźcy świętego Jana.  
Niechaj nas miną. Mam moc i rozkazę  
płynąć jej pewnie w zagubione światło,  
gdzie wolne narody jak szczęśliwy człowiek  
nie mają wcale koszuli.

Wyglądź szarzynę słów postrzępionych bagnetem  
w myśl prostą i unieś z nad zmęczonych powiek:  
zagasła pamięć nad wodami  
w porach roku czytanych nawspak.

Z zastygłej krwi w obrzeżu chlamid,  
ze słońc umarłych wśród miedzianych tarcz  
zrodzisz się - Feniks - noniołowy ptak.  
Lot w ciemnych snach strudzonych świętych  
przerwiesz w łożysku nienazwanych ruin.

O prężną czułość rąk  
porwane sieci pajęczne.  
Gwiazdy w godzinie stad  
podobne latarniom.

Przez chybot lasów, wśród drzeń gór  
idący z lat nas wiatr poniesie,  
kołyszając w słodki rytm prostego słowa "razem".

*Coś tu jest  
do czegoś, do czegoś  
niezbyt  
TJ*

Mój ojciec i ja - tesame czarne brwi,  
tensam mamy głos i jednakie oczy i jednaki chód,  
jego uśmiech jest moim uśmiechem i gdy ze mnie drwi,  
gdy patrzy na mnie mojami oczami - czuję nagły chłód  
czuję nagłą złość i gniew wzbiera mi żyłą na czole  
i pięść tak krwią nabrzmiwa że chciałbym - od lewa  
trzasnąć w twarz - która jest moją twarzą. Więc na stole  
opieram pięści i patrzę i czekam. Ojciec śpiewa  
spokojnie - i znowu: - słucham, słucham - no, mów.

Ja:  
Ale nie przerywaj. Nie przerywaj, nie rozdrażniaj mnie znów.  
Ja - - Tak. Jestem inny niż ty. Mam w oczach odpryski  
dziwnego lustra, które kiedyś zły duch rozbił, rozrzucił po świecie -  
mam w oczach tego szkła odpryski - mają wszyscy poeci -  
i stąd światło silniejsze, stąd te błyski  
mocniejsze które nam z oczu padają. I dlatego patrzenie  
takie jest bolesne, taki ból sprawia każde spojrzenie.

Gdy ty śpisz - ja czuwam. Noc przezemnie przepływa.  
We śnie się domy - czarne okręty-kołyszą.  
Aż - przedświt. Noc rynsztokami niebieska odpływa.  
Bulgotanie białych pęcherzyków dnia. Słyszę.  
Bo przedświt jest ciemną wodą, ciemną i szeroką  
a na niej - pęcherzyki białe bul-bul-gocą. Widzisz? Zmruż oko.  
Ale jeszcze - nie dzień. Dopiero nocni stróże pochylając głowy  
- a są ogromni, słomiani, olbrzymiołape ~~skakane~~ chochoły -  
na mokrych chodnikach świt rozpalają, ustawieni w koło.  
Świt się rozpala, gaśnie i wreszcie czadem zadymi różowym.

Ojciec:  
Jak? Nocni stróże - mówisz - rozpalają świt?

Ja:  
A tak. Nie przerywaj tato - cicho - cyt -  
I tak się staje od tego czadu różowo i ciężko jakby róże  
pachniały chore. I świt przenika jak dym do mieszkań, do łóżek  
gdzie śpią nadzy ludzie skurczeni, zwinięci w kłębek,  
i przerażeni - skurczeni jak w łonie matki - ssą własny pepek  
i sen smakują splątany, sen w którym ciało spada - spada -  
aż nie rozewrze oczu świt - ostra różowa szpada.

Ojciec:  
No i robi się dzień. Śpisz do godziny pierwszej.  
A wynik taki: kociokwik i znowu jakiś wierszyk.  
Potem łazisz po mieście i szukasz posady.

Ja:  
Dzień jest mgłą białą i gęstą, a domy  
jak w próżni w niej wiszą i lekko się chwieją.  
Jezdnią, podniósłszy ogony, brązowym gnojem sieją  
konie - bokiem skaczące plamy brązowe -

752  
89  
mie. He  
Df -

Żółte samochody - jak psy - tramwaj opałowy bawologłowy,  
szczekają i do szyi skaczą czerwonej.

Latarnie - oczy na czarnych łożogach - odwracają się w inną stronę.

W tej mgie białej i gęstej tysiąc ust krzyczy i gada -  
kobiety na okrągłych biodrach jak na kołach jadą.

Mężczyźni stoją - przed rozwieszoną gazetą - rzędem  
i nos przyciskają do szyby i - czytając cudowną legendę  
o na skromnych warunkach zaofiarowanej posadzie -  
wyglądają ewentualnie jak rząd na krzyżu rozpiętych  
okrągłogłowych świętych. 90

Wieczór spada poziomo - rozpostarta zielona chusta.

I gęstą mgłę zieloną mężczyźni chłoną przez oczy i usta.

Pokolei od gazety odchodzą - wiatr zielonem zimnem bucha -

każdy z nich nozdrzem w rynsztok szybko dmucha

i do domu, gdzie też zimno, chwiejnym krokiem kroczy,

podnosi kołnierz palta, otwiera zamyka jak lalka oczy.

Każdy z nich palto na guziki zapina

i roztargnionymi palcami własną ujmuje głowę i przegina

i do butonierki wpycha jak guzik -

idą idą pokurczeni przekrzywieni ludzie.

A potem fontanny na wszystkich ulicach

tak długo tryskają nocą niebieską, aż kamienice

jak czarne okręty płyną po tej niebieskości

w sen groźny gdzie ciała - spadają - w przepaść z wysokości - -

Odrzekł mój ojciec: - nie rozumiem. Nie widzę. - -

Nasze pięści gorące od krwi -

dolna szczeka do przodu uderzyła jak cyngiel.

Wdół ściągawszy tesame czarne brwi

obu nam w gniewie oczy błyszcza buro

patrzmy spodełba, bokiem - taksamo ponuro.

Godło: "CHARYBDA"

Godło: Białowieża  
-----

Liliowy  
-----

Wybiegnę: brązowy bożek do boru  
Półdziki, pogańsko uroczy -  
I bór zaczaruję salwą kolorów  
liliowo skrzących się oczu.

I poprzez gęstwinę wiotko przepłyne  
liliowem błędzeniem motyla -  
Aż dojrzę i porwę leśną dziewczynę.  
/Na imię będzie jej Lilla/.

A gdy ją posiędę smukłą i bosą,  
porzucę gdzieś w leśnej ustroni -  
A zachód liliową skropi się rosą  
i bór liliowo zapłonie - -

Ścigany pożarem padnę samotnie  
i serce mi pęknie jak kielich -  
A Lilla liliowość swą tak ustokrotni,  
że lilią w niebo wystrzeli !

136 q1  
(2)  
miejsce -

Wzrosty nie —  
M.

Poemat lasu.

(kłusownicy)

G. Alter

133

?

szumiał las...

dęby wypięły piersi guzate  
z wieku spękane i mchem włochate  
ossika sssię  
trzęssa strach  
cccąła we łzach  
śśśnił się jej- Krzyż!!!-

5

(Buk krzyknął wtedy jak w "Dziadach": a kysz... a kysz")  
Brzoza (nie wiadomo, skąd się tu wzięła)  
plakać zaczęła

10

(pewnie ze wstydu-  
bo wśród buków idębów nawały  
stała sama, naga a ramiona białe  
wstydliwie skrzyżowała i opuściła włosy  
spłowiałe...)

15

Dzięcioł właśnie wykuwał napamięć doktorat  
o znajomości lasu drzew, pni i robaków

Zając uczył się wtedy trwożnych Morse'a znaków  
i tupał wciąż zawzięcie jak telegrafista

20

Wiewiórka, jako zawsze do zabawy skora  
skakała po smerekach jak kula ognista,

alis, co we wsi mędrkowała dziś wiele  
marzył o poźściu na kacze wesele.-

.....

Dwa cienie mknęły cichutko wśród drzew.-  
(czasem tylko trzasła pod stopą gałązka  
lub zaszeleścił suchy, zaczepiony krzew)  
szli kłusownicy, a z nimi cichy szept:  
--"no?"--"nic"--"jak?"--"ccco?"--"cccicho!"

25

Prześlizły się cienie pod krzakiem leszczyny-  
popatrzył Zając: łachmany, "kuczny", strzelby,  
dzikie krwiożercze i wężące miny-  
wiec skokiem łupnął jedną zgłoskę: "strach"  
nastrożył słuchy, wybałuszył trzeszcze,  
zniknął, kicając w ukochanych krzach-

30

rzuciła szyszką wiewióreczka i zagniewana  
człapała po młodym i śmigłym smereczku-

35

przez zrąb, wśród pni  
szli-kłusownicy, a z nimi cichy szept:  
--"jest"--"ccco?"--"on"--"kto?"--"cap!"--"bij!!!"  
odciągnięte kurki przytaknęły: klap-  
dwa cienie przyklekły, coś sobie szeptały  
coś tak strasznego, że sroki omdlały  
a sojki wrzasły i trzasły w gęstwinę  
a dzięcioł furknął daleko w dębinę-

40

dziwny niepokój poczuł nagle cap-  
majestatycznym ruchem uniósł nagle głowę-  
popatrzył wkoło --"nic"--"klap!"

45

beknął potężnie w ciemnosiny las,  
rozkraczył cewki, patrzył jeszcze chwilę  
i dalej trawę z mądrą miną pasł.

50

...szelest!--ruch!--Cap w słuch--nic-



93

55 właśnie za uchem ugryzła go pchła  
 więc zadnia cewką poważnie się skrobał  
 potem stanął, patrzył,  
 polizał z kurtuazją boki sarny oba  
 w końcu rogiem ją trącił daleko na stronę  
 (na znak, że pieszczoły na dzisiaj skończone)  
 znów ugryzła go pchła, więc polizał boki  
 dał dwa skoki  
 przestraszył się jakichś-pewnie pniaków-cieni,  
 usłyszał:szszsz"-  
 ryknął i pał się w soczystej zieleni-

65 Wtem!!! huk!dym! wrzask! kwik! ryk!  
 bherrrrrrrrr!!!bherrrrrrrrr!!! buch!!!buch!!buch!  
 trzask!--"w lassss"----bierz!!!!"

-----  
 dwa cienie pomknęły z ciężarem w gęstwinie  
 (pasemko posoki zostało jedynie.....i cisza.....)

szli kłusownicy, a z nimi cichy szept:  
 -Widział kto?"-----"Nie!"-----"chować?"-----"gdzie?"-----"tu!"

70 "słyszszsz!!!!"  
 "occo?"-

przez bór, przez debry, przez jary, doliny  
 przez góry, jary, wąwozy, gęstwiny  
 niósł hen drzewa (rzekomi oszczercy)

75 echowyy jęk:  
 --"po stokroć ochydni, nieznośni, zuchwali  
 mordercy!!! mordercy!!! mordercy!!!"  
 --"to echo!"  
 --"nid!"  
 80 --"chodź w las!"

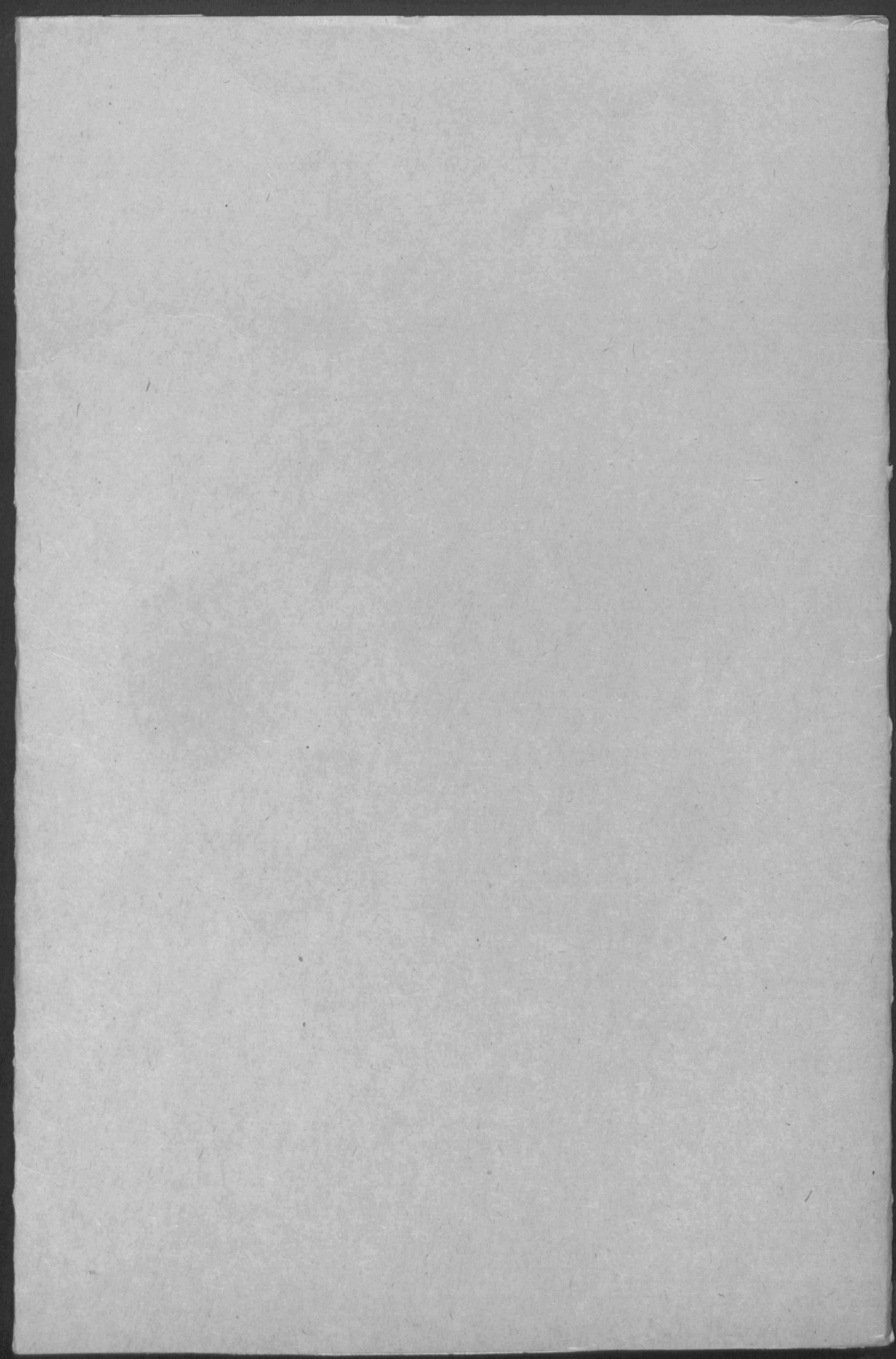
Szeleszcząc snuła marzenia osika  
 grab się dostojnie na wietrze kołysał,  
 -słychać cykanie leśnego konika  
 w barwnych natury teatru-kulisach

85 Dzieciół kuł dalej "drzewiasty" doktorat,  
 Wiewiórka szyszką rzucała do celu,  
 Zając wytupał "wieczerzać już pora"  
 a Lis na kaczem zatańczył weselu  
 i tylko lasy

90 na straszną przestrogę potomnej zwierzyny  
 i na wiecznego człeka -przeniewiercy  
 szumiwały smutnie  
 wciąż ciszej i ciszej:

94 ---"mordercy!!!!" mordercy!!!! mordercy!!!!"

napisał: "ALTER"



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

**Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.**

**Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.**

**All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.**